

BIBLIOTEKA
GŁÓWNA
W
SP
KRAKÓW

2896

Schiller
Maria 181



4.1.505/6.

FRYDERYK SCHILLER

WILHELM TELL

DRAMAT

PRZEKŁAD J. N. KAMIŃSKIEGO

WYDANIE DRUGIE



L. i. 306.



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

OBJAŚNIENIE.

Podanie o Wilhelmie Tellu odnosi się do początku w. XIV kiedy Szwajcarja była pod zwierzchnictwem cesarzy niemieckich. Za panowania Albrechta Habsburga 3 kantony, Szwyc, Uri i Unterwalden, zawarły związek w celu wzajemnej obrony przeciw uciskowi namiestników cesarskich i w bitwie pod Morgarten 1315 r. odniosły zwycięstwo. To stało się początkiem niepodległości Szwajcarji. Bajeczną jest podobno postać Tella, którą jednak Szwajcarzy uczcili pomnikiem.

Fryderyk Schiller, znakomity poeta niemiecki, ur. 1759 r.,
zm. 1805 r.

SKŁADY GŁÓWNE:

•THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC.• NEW YORK
•KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.• KATOWICE

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

1925

OSOBY:

WALTER FIRST. teść jego,

RESELMAN, ksiądz,

PETERMAN, organista,

KUONI, pasterz,

WERNI, myśliwiec,

RUODI, rybak,

ARNOLD MELCHTAL,

BAUMGARTEN,

WINKELRID,

MEIER Z SARNEN,

BURKHARD BÜHEL.

ARNOLD SEWA,

KLAUS Z FLUE,

WERNER SZTAUFACHER,

ITEL REDING,

JAN MAUER,

JERZY HOFÉ,

KONRAD HUN,

ULRYK KOWAL,

JOST WEILER,

PFEIFER Z LUCERNY.

GESLER, starosta.

RUDOLF HARRAS, koniuszy.

BARON ATINGHAUSEN.

ULRYK RUDENZ. jego siostrzeniec.

JAN PARICYDA, książę Szwabii.

SZTISI, polowy.

KAMIENIARZ.

FRISHARD,

LEITHOLD,

WALTER,

WILHELM,

JADWIGA, zona Tella.

GERTRUDA, żona Sztaufachera.

BERTA Z BRUNEKU.

ARMGART, żona wyrobnika.

ELŻBIETA,

HILDEGARDA,

MECHTYLDA,

DOZORCA ROBOTNIKÓW.

CZELADŹ KAMIENIARZA.

MNICHY.

LUD I ŻOŁNIERZE.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Wysoki brzeg nad zatoką jeziora naprzeciwko Szwycu; niedaleko chata, rybaczek pływa w czółnie. Za jeziorem widać zielone łąki, wsie i dwory Szwycu, jasno słońcem oświecone. Po lewej ręce widzów ostre skał szczyty mgłą odziane, po prawej dalekie góry lodowate. Przed podniesieniem zasłony i przez chwilę po otwarciu sceny słyszać piszczalki i harmonijne dzwonki bydła.

Rybaczek *w czółnie, śpiew.*

Blyszczą jeziora jasne kryształ,
Zasnął na brzegu chłopczyna mały.

Wtem dźwięk usłyszysz, Jak gdyby w raju
Jak fletów brzmienie, Aniolów pienie.

A gdy się budzi, zjęty rozkoszą,
Czuje, że wody piersi mu rosą,

I coś nań wola: Pójdź do mnie na dno,
Pójdź, śpioszku młody, Tu na dno wody.

Pasterz *na górze, śpiew.*

Zegnam was, gaje, Jesień nastaje,
Zegnam was, kwiaty, Pasterz do chaty.

Ale na góry znowu powróci,
Skoro w krzewinie słowik zanuci,

Skoro zakwitną brzegi strumieni,

Skoro się świeży liść zazieleni.

Żegnam was, gaje,

Jesień nastaje,

Żegnam was, kwiaty,

Pasterz do chaty.

Myśliwy z przeciwnej strony na skale, śpiew.

Grom runął, góry i ścieżki zadrżały,

W pośród przepaści myśliwiec zuchwały

Depce bez trwogi

Gdzie niema wiosny

Śnieżne lawiny ¹⁾,

Ani krzewiny.

A pod nim mgliste morze świat zasłania,

Nie widać śladu ludzkiego mieszkania,

Tylko przez chmury

Zabłyśnie czasem

Daleko w dole

Zielone pole.

Widok się zmienia, słychać głuchy huk na górach, cienie chmur przesuwają się przez scenę. Ruodi rybak wychodzi z chaty, Werni strzelec zstępuje ze skały, Kuoni pasterz ze skopcem na plecach, za nim Sepi pastuszek

Ruodi rybak. Prędko, Jeny, łódź przywiąż — widzisz, co się [dzieje.

Tucza ²⁾ idzie — z pieczarów zimny wichur wieje,

Mitensztejn ³⁾ mgłą się odział, w każdej stronie błyska,

W obłokach rwą pioruny, nawałnica blizka.

Kuoni pasterz. Deszcz będzie, przewoźniku — kurzą się manowce,

Jaskółka nisko lata, chciwie pasą owce.

Werni myśliwiec. Ryby w wodzie pluskają — łyska się zanurza,

Ujrzycie niezadługo, jaka będzie burza.

Kuoni do chłopca. Patrz, Sepi, czy się bydło gdzieś nie zablakało.

Sepi. Słychać dzwonek Barnuli!

Kuoni.

Można więc na śmiało

Być spokojnym — bo ona najdalej zachodzi.

Ruodi. Piękne stado, pasterzu.

Werni.

Niech się spytać godzi:

Czy to wasze bydelko tak dobrze dobrane?

Kuoni. Mnie na to nie stać, pańskie, do wiernych rąk dane,

Atinghausena.

Ruodi.

Jak tej krówce z dzwonkiem ładnie!

¹⁾ Lawiny, zwały, zaspasy śnieżne.

²⁾ Chmura.

³⁾ Skała.

Kuoni. Ona to wie: bez dzwonka gdy jej pójsé wypadnie,
Zostaje się za bydłem, nie chce wodzic stada.

Ruodi. Jak? bezrozumne zwierzę...

Werni. Ej! tak to się gada.

I zwierz ma rozum, my to z doświadczenia wiemy.

Nieraz, kiedy na dzikie kozy polujemy,

Wszystkie pasą, a jedna z nich na straży czuwa,

Uszkiem strzyże, i skoro strzelec się przysuwa,

W głos ostrzega.

Ruodi do pasterza. Czy nazad już pędzicie trzody?

Kuoni. Alpy już wypasione.

Werni. Powrócić bez szkody

Daj wam Boże, pasterzu!

Kuoni. I wy idźcie zdrowi!

Niezawsze się powrócić uda myśliwcowi.

Ruodi. Oj! tam ktoś biegnie.

Werni. Znam go, Baumgarten z Alcelu.

Baumgarten *wpada zadyszany.* Dawajcie łódź, dla Boga! Prę-

[ko, przyjacielu,

Przewieźcie mnie.

Ruodi. No, zwolna, czego tak spieszycie!

Baumgarten. Przewieźcie mnie czempredzej, ocalcie mi życie.

Kuoni. Któż was ściga?

Werni. Dlaczego taki strach was bierze?

Baumgarten. Spieszcie... w trop za mną pędzą starosty żołnierze,

Zginę, jeśli mnie schwycą.

Ruodi. Cóż za powód taki?

Baumgarten. Ocal mnie — potem powiem.

Werni. Skąd ta krew, te znaki?

Baumgarten. Burgrabia, co w Rosbergu w zamku na urzędzie...

Kuoni. Wolfenszisen was ściga?

Baumgarten. On ścigać nie będzie.

Zabiłem go.

Wszyscy przerażeni. O Boże! zmiłuj się nad wami!

Cóżście uczynili!

Baumgarten. To, co by wy sami,

Co każdy wolny człowiek równie obrażony.

Broniłem praw najświętszych: honoru i żony.

Kuoni. Na honorze was skrzywdził?

Baumgarten.

Nie mógł na honorze,

W Bogu znalazł przeszkodę i w moim toporze.

Werni. Głowieście mu rozcięli?

Kuoni.

Jakże to się stało?

Nim on łódkę odwiąże, powiedzcie rzecz całą.

Baumgarten. Rąbałem drzewo w lesie, wtém przybiega żona,

Bez tchu, w śmiertelnej trwodze, mówi przerażona:

Burgrabia przybył — kazał kąpiel robić sobie,

A potem chciał ją skrzywdzić w gwałtownym sposobie,

Lecz ona się wyrwała. — Wpadłem tak, jak stałem,

I siekierą złoczyńcy kąpiel przeżegnałem.

Werni. Słusznie, niema co mówić.

Kuoni.

O! zarobił na to!

Za krzywdy Unterwaldu ta śmierć jest zapłatą.

Baumgarten. Wieść rozeszła się o tem — pogoń za mną godzi.

Gdy mówimy — tymczasem — przebóg! czas uchodzi.

Słychać grzmoty.

Kuoni. Do wiosła, przewoźniku, przewieźcie go skoro.

Ruodi. Nie można — tucza idzie — burzy się jezioro,

Musicie czekać.

Baumgarten.

Boże! ja nie mogę czekać,

Śmiercią najmniejsza zwłoka.

Kuoni.

Nie chcecie odwlekać,

Dziś mnie, wam jutro — miejcie więc w Bogu nadzieję,

Dopomóżcie bliźniemu. *Grzmoty i pioruny.*

Ruodi.

Patrzcie, co się dzieje.

Jezioro wzdęte, bałwan za bałwanem wali,

Nie mogę płynąć przeciw wiatrowi i fali.

Baumgarten *u nóg jego.* Niech wam Bóg da zbawienie, tak jak

[mnie zbawicie.

Werni. Przewoźniku, miej litość, tu idzie o życie.

Kuoni. On ma żonę i dzieci, on jest głową domu! *Grzmoty.*

Ruodi. Co? i mnie żywot równie miły jak i komu,

I ja mam żonę, dzieci, jak on — patrzcie sami,

Jak tam wre, jak tam kipi, jak zewsząd wirami

Aż ode dna buchają rozhukane fale.

Chciałbym go przewieźć, ale niepodobna wcale.

Baumgarten *jeszcze na kolanach.* O! więc już zginąć muszę, już
[nadziei niema,

Ląd wybawczy tak blisko, przed memi oczyma,
Wzrokiem mogę go widzieć, i dosięgnąć słowy,
Oto nawet u brzegu stoi czółn gotowy,
A ja muszę wpaść w ręce wrogowi mściwemu!

Kuoni. Patrzcie! ktoś ku nam idzie.

Werni. To jest Tell z Birglenu.

Tell *z łukiem.* Co to za człowiek? czy tu wsparcia trzeba komu?

Kuoni. Człowiek z Alcelu, bronił cześci swego domu

I zabił burgrabiego, co w Rosbergu siedział,
Wolfenszysa; starosta o tem się dowiedział,
Straże pędzą, łódź jedna chyba go ocali,
Lecz przewoźnik wieść nie chce, lękając się fali.

Ruodi. Tell zna wiosło i przyzna, że niema sposobu.

Grzmoty i burza.

Jażbym się rzucił w otchłań otwartego grobu?
Mam jeszcze zmysły, tego szaleństwa nie zrobię!

Tell. Mąż prawy na ostatku myśli sam o sobie.

Ufaj w Bogu i rękę podaj nieszczęsnemu.

Ruodi. Łatwo radzić na brzegu, o! łatwo każdemu,

Oto łódź i jezioro — możecie spróbować.

Tell. Przedzej woda, niż tyran może się zlitować.

Przewieź go!

Pasterze i Strzelec. Ratuj, ratuj, ratuj ginącego!

Ruodi. Choćby tu brat, lub syn mój był — nie zrobię tego!

Dziś Szymona i Judy, zguba jest gotowa,

Jezioro żąda łupu.

Tell. Daremne tu słowa.

Ratunku trzeba, jedna chwila zgubić może;

Mów: płyniesz, czy nie?

Ruodi. Ja, nie.

Tell. No, to w imię Boże!

Daj łódź, doświadczę słabych sił moich i wprawy.

Kuoni. Dzielnym Tell!

Werni. To dla niego, to myślnieć żwawym!

Baumgarten. Tellu! jesteście moim zbawcą i aniołem.

Tell. Ja was zemście starosty odjąć przedsięwziąłem.

Wśród burzy niechaj inna ręka nas obroni!
Lepiej jednak być w Boskiej, niżli w ludzkiej dłoni.

Do pasterza.

Jeśli Pan Bóg dopuści jakie złe zdarzenie,
Sąsiedzie, żonie mojej nieście pocieszenie.

Ja tu nie mogę zrobić nic innego wcale. *Skacze do łodzi.*

Kuoni. Przewoźniku, robicie wiosłem doskonale,
Czemuż co Tell uczynił, wybyście nie mieli?

Ruodi. Lepszy ode mnie z nim się równać nie ośmieli.

Nie znajdziecie takiego w całej tej krainie.

Werni *wstępuje na skałę.* Szczęść Boże! cny żeglarzu, już od-
[bija, płynie!]

Patrzajcie, jak się łódka na balwanach chwieje.

Kuoni *na brzegu.* Zalało ją — nie widać — o! cóż się z nim
[dzieje!]

Nie, jest znowu — przez odmet gwałtem się przedziera.

Sepi. Oto wwał ku nam pędzą straże Landbergera.

Kuoni. Prawda — oni — to pomoc w prawdziwie złej chwili.

Oddział jazdy.

Pierwszy jeździec. Wydajcie nam mordercę, któregoście skryli!

Drugi jeździec. Tędy poszedł — wymówka wszelka nic nie warta.

Kuoni i Ruodi. O kimże to mówicie?

Pierwszy jeździec. Co widzę? do czarta!

Werni *na skałę.* Czy tak? tego, co w łódce płynie, pojmać
[chcecie?]

Przypuście żwawo, jeszcze dognać go możecie.

Drugi jeździec. Uszedł! źle!

Pierwszy jeździec *do rybaka i pasterza.* Wasza sprawka — damy
[wam nagrodę.

Dalej, zburzcie im chatę, rozbijcie im trzodę,

Pal, tnij — niech tylko kamień zostanie i woda.

Odjeżdżają.

Sepi. Boże! jagnięta moje!

Kuoni. Gwałtu! moja trzoda!

Werni. Zbrodniarze!

Ruodi. Sprawiedliwy! Wszechmogący Panie!

Kiedyż? ach kiedyż mściciel w tym kraju powstanie!

SCENA DRUGA.

W Szteinen w Szwycu lipa przed domem Sztaufachera koło drogi obok mostu.

Werner Sztaufacher. Pfeifer z Lucerny. *Przychodzą rozmawiając.*

Pfeifer. Tak, mój panie Wernerze, radzi myśl ostrożna

Nie przysięgać Austrii, skoro tylko można.

Lepiej trzymać się Rzeszy ¹⁾ w jedności i zgodzie.

Oby nas Bóg zachował przy dawnej swobodzie!

Ściska go za rękę i chce odchodzić.

Sztaufacher. Zostańcie — pocóż tak się kwapicie niezmiernie?

Wy moim gościem w Szwycu, ja waszym w Lucernie.

Poczekajcie na moją żonę.

Pfeifer.

Nie, nie mogę.

Dziś chcę być w Gersau, jeszcze mam daleką drogę.

Choć wam cięży starostów wyniosłość i chciwość,

Znoście wszystko spokojnie i miejcie cierpliwość,

Wkrótce zmienić się może cała rzeczy postać,

Berło cesarzów w inny dom może się dostać;

Lecz Austrii przysięgłszy, krok już niecofniiony.

Odchodzi. Sztaufacher siada zamyślony na ławie pod lipą.

Gertruda, żona jego, przystępuje i chwilę milcząc na niego spogląda.

Gertruda. Mężu, dlaczego jesteś taki zamyślony?

Od dawna widzę w tobie zgryzotę tajemną,

Coś ci na sercu cięży; nie kryj się przede mną,

Mnie należy połowa twego udrczenia.

Sztaufacher milcząc, ściska ją za rękę.

Powiedz, co ci takiego, jakie masz cierpienia?

Wszak łaska niebios pracy twojej odpowiada:

Stodoły pełne, bydła twego liczne stada,

I gładkie konie z pastwisk na porę zimową

Już do wygodnych stajen powróciły zdrowo.

Oto i dom wygodny, nowo zbudowany,

Z pięknych przyciesi gładko wyrobione ściany,

¹⁾ Rzeszą nazywano wszystkie państwa niemieckie, pozostające pod zwierzchnictwem cesarza.

Jak dwór jaki połyska licznemi oknami,
Wewnątrz malowanemi ozdobny tarczami;
I mądrych zdań osnowa na belkach wyrzyta,
Które nieraz wędrownik z zadziwieniem czyta.

Sztaufacher. Ach! na niepewnym gruncie ta cała budowa!

Gertruda. Mężu! jak to rozumiesz? co znaczą te słowa?

Sztaufacher. Kiedym siedział niedawno pod tej lipy cieniem,

Ciesząc się w duchu pracy pomyślnem skończeniem,
Niespodzianie z Kismachtu nadjechał w te strony
Starosta, gronem giermków swoich otoczony.

Stanął przed naszym domem, zdziwiony niemaló,

Lecz ja prędko powstawszy, jak się należało,

Szedłem powitać pana, który w naszej włości

Jest zastępcą cesarskiej sądowej godności.

•Czyj to jest dom?• złośliwie zadał mi pytanie,

Choć wiedział dobrze. Ja mu rzekłem na to: •Panie,

Dom ten mego monarchy, cesarza własnością,

A razem waszą, panie, i moją lennością•.

•Mnie•, rzekł on dumnie, •cesarz oddał rząd krajowy,

A ja nie chcę, ażeby chłop stawiał budowy,

Jak gdyby sam był panem i żył podług woli;

To być nie może, na to zwierzchność nie zezwoli•.

Odjechał — lecz myśl moja, troskami znękana,

Lęka się tych złośliwych wyrazów tyrana.

Gertruda. Kochany mężu! słuchaj zdania wiernej żony!

Moim ojcem był Iberg, mądrością wstawiony.

Nieraz gdym w nocy przędła w pośród niewiast grona

A starszyzna u mego ojca zgromadzona

Czytała starożytnych cesarzów ustawy

I poważnie powszechnie obmyślała sprawy,

Słyszac mowy rozsądnych i cnotliwych chęci,

Niejedno mądre słówko schowałam w pamięci.

Posłuchaj więc i radę chciej przyjąć ode mnie.

Ja dawno wiem, dlaczego dręczysz się tajemnie:

Złość starosty przemyśla o twojej zagładzie,

Chciałby cię zgubić, ty mu jesteś na zawadzie.

Przez ciebie Szwacer holdu nie składa księżęciu,

Lecz idąc torem przodków, stały w przedsięwzięciu,

Pozostaje przy Rzeszy wytrwale i szczerze.

Wszakżem zgadła, sam wyznaj, kochany Wernerze.
Szttaufacher. Prawda, gniewu Geslera takie są powody.
Gertruda. Meżu, on ci zazdrości szczęścia i swobody.

Ty, wolny człowiek, żyjesz na dziedzicznej roli,
A on nie ma dziedzictwa — tve szczęście go boli.
Jak książę w swoim kraju, tak ty w swoim domu
Rządzisz własnym majątkiem, nie służąc nikomu.
Od Rzeszy i cesarza lenność ci nadana,
I żadnego nad sobą nie uznajesz pana,
Prócz głowy chrześcijaństwa; on młodszy w swym rodzie
Nie ma nic, tylko zbroję. Niechętny swobodzie,
Krzywo patrząc na szczęście każdego człowieka,
Dawno przysiągł ci zgubę — lecz mądry nie czeka
I uprzedza zawziętych na swoją zagładę.

Szttaufacher. Cóż ja mam czynić?

Gertruda *przystępuje bliżej.* Meżu, przyjmij moją radę.

Wiesz dobrze, jak tu w Szwycu każdy się uskarża
Na dzikie okrucieństwo i chciwość zbrodniarza.
W Uri i w Unterwaldzie to samo się dzieje,
Równie okropny ucisk, równa niechęć tleje;
Bo jak Gesler jest u nas wszystkich niecnót zbiorem,
Tak równie Landenberger u nich za jeziorem.
Żadna łódka rybacka do nas nie przypłyne,
By wieści nie przyniosła o złym jakim czynie,
Lub o jakiej starostów nowej nieprawości.
Dobrzeby zatem było, abyście w skrytości,
Wy cnotliwie myślący, zeszli się do rady
Dla odparcia krajowi grożącej zagłady.
Bóg pomoże idącym świętą cnoty drogą.
Lecz powiedz, czy masz w Uri ze znajomych kogo,
Komuby się z ufnością wynurzyć przystało?

Szttaufacher. Dobrze myślących ludzi znam ja sam niemało,
I panów, których serce sprzyja mi tajemnie. *Wstaje.*
Kobieto! co za myśli śmiesz obudzać we mnie!
To com czuł w głębi duszy, tyś na jaw wydała,
O czem bałem się myśleć, tyś powiedzieć śmiała.
Rozważyłaśże skutki? W kraj dotąd spokojny

Chcesz przywołać niezgodę i okropność wojny!
My walczyć z panem świata? my, słabi pasterze!
Tego oni chcą właśnie, tego pragną szczerze,
Ażebym pod pozorem jakiegokolwiek winy
Zalać zbrojnemi hordy te ciche doliny,
I zagarnawszy mieczem ubogie zagrody,
Zniweczyć przywileje ¹⁾, przytłumić swobody.

Gertruda. Nie stępiała i wasza kosa i siekiera,
Wszak i wy macie męstwo, a Bóg mężnych wspiera.
Sztaufacher. Niewiasto! wojnie straszna towarzyszy nędza,
Ni trzody ni pasterza wojna nie oszczędza.

Gertruda. Trzeba znosić od Boga zesłane cierpienia,
Lecz szlachetny nie znosi krzywd i upodlenia.
Sztaufacher. Cieszysz się, żeśmy nowy dom wybudowali?
Wojna nielitościwa zburzy go i spali.

Gertruda. Jażbym dobro doczesne tyle cenić miała?
Wpróżdzbym go własną ręką zapalić wolą!
Sztaufacher. W ludzkość ufasz. Niestety! wojna śmiercią tchnąca
Niemowlęta w kolebce o głazy roztrąca.

Gertruda. Niewinność najlepszego ma obrońcę w niebie,
Patrz się naprzód, Wernerze, a nie poza siebie.
Sztaufacher. Mężczyzna w boju znajdzie śmierć, godną zalety,
Ale jakież los spotka bezbronne kobiety?

Gertruda. Ostatni wybór zawisł od każdego woli:
Jeden skok z tego mostu wydrze mnie niedoli
Sztaufacher *ściska ją*. Ach! kto taką małżonkę do serca przy-
[ciska,

Niechaj walczy z ochotą o swoje ogniska,
Niechaj się królów świata potędze opierał
Idę zaraz do Uri, do Firsta Waltera,
On gotów dla ojczyzny na wszelkie ofiary.
Jest tam i pan szlachetny, Atinghausen stary;
Chociaż mu ród wysoki wielką wziętość daje,
Kocha kraj i poważa dawne obyczaje.
Z nimi ja się poradzę o ziomeków potrzebie,
Jakby to nienawistne jarzmo zrzucić z siebie.

¹⁾ Prawa wyłączne dla jednej prowincyi lub stanu.

Badź zdrowa — ja odchodzę, lecz twoje staranie
Niechaj w domu nad wszystkim czuwać nie przestanie.
Gościnnego przyjęcia nie odmów nikomu;
Pielgrzymu, który idzie do Bożego domu,
Zakonnika, co zbiera dla swego klasztoru,
Uczęstuj i udaruj, nie żalując zbioru.
Dom Sztaufachera stoi koło samej drogi,
Niechaj każdy podróżny ma wstęp w jego progi.

*Gdy oni odchodzą, wchodzi Wilhelm Tell z Baumgartenem z przodu
na scenę.*

Tell do Baumgartena. Już możecie iść sami — oto prosta
[ścieżka,
Wnijdźcie do tego domu, w nim Sztaufacher mieszka,
On jak troskliwy ojciec wspiera potrzebnego —
Lecz oto sam wychodzi, pójdźmy więc do niego.

SCENA TRZECIA.

Rynek w Allorfie na pagórku, wtyle budują twierdzę i zrobiono już tyle, że można poznać kształt całej budowy. Tylna strona już skończona, na przodzie murują, rusztowanie stoi, po którym robotnicy na dół i do góry idą; na najwyższym szczycie siedzi ceglarsz. Wszystko jest w ruchu i pracy.

Dozorca. Kamieniarz. Czeladnicy i Robotnicy.

Dozorca pędzi kijem robotników. No dalej! do roboty! dość tego
[siedzenia.

Zywo! dawajcie wapna, piasku i kamienia.
Niech przecie pan starosta ujrzy postęp jaki...
Że takim żółtim krokiem łażą te próżniaki!

Do dwóch robotników, którzy niosą.

Cóżeś to nabrał!... wszędzie miechy na was oczy,
Zawsze chce oszukiwać ten lud nieroboczy!

Czeladnik. To jest rzecz niesłychana!... Sobie na więzienie,
Sami sobie na zgubę nosimy kamienie!

Dozorca. Nie mrucz!... Co to za naród! Do niczego wcale!

Nic, tylko się po górach włóczyć opieszale.

Starzec siada. Słabo mi...

Dozorca wstrząsa go. Dalej, starcze, żywo! czas ucieka!

Czeladnik. Macieź serce, takiego starego człowieka
Wyganiać na pańszczyznę! On się ledwo dźwiga,
Ledwo stoi...

Kamieniarz i Czeladnicy. Ach! na to natura się wzdryga!

Dozorca. Patrz swego... Ja to czynię, co do mnie należy.

Drugi czeladnik. Dozorco, jakież miano tej twierdzy czy wieży?

Dozorca. Cwing Uri, bo to jarzmo dla kraju waszego.

Czeladnicy. Cwing Uri!

Dozorca. Skąd te śmiechy? cóż tu zabawnego?

Drugi czeladnik. Ten domek ma być jarzmem naszej wolnej
[ziemi?

Pierwszy czeladnik. Ileż kłaść takich mrowisk jedno nad dru-
[giemi,

Nim z nich góra najmniejszej w Uri równa będzie!

Dozorca odchodzi w głąb sceny.

Kamieniarz. Wrzuć w otchłań jeziora nieszczęsne narzędzie,
Którym stawiam to gniazdo przekleństw i niewoli.

Tell z Staufacherem nadchodzi.

Sztaufacher. Obym się był nie rodził w tym wieku niedoli!

Tell. Dłużej tu się nie bawmy... pójdźmy w naszą drogę.

Sztaufacher. Tenże to kraj wolności?... pojąć się nie mogę!

Kamieniarz. O! gdybyście dopiero zobaczyli sami,

Jakie lochy, pieczary pod temi wieżami!

Tu więzień koguciego nie usłyszy pienia.

Sztaufacher. O Boże!

Kamieniarz. Patrzcie na te baszty i sklepienia,

Filary, których trwałość wieków się nie lęka!

Tell. Dzieło człowieczej ręki może zburzyć ręką.

Wskazując góry.

Bóg nam zbudował wieczne swobody siedlisko.

*Trąbią. Kilku ludzi niesie kapelusz na żerdzi, za nimi woźny,
dalej kobiety.*

Pierwszy czeladnik. Trąbią, słuchajcie!

Kamieniarz. Jakieś ludu zbiegowisko..

•Taki się widok tylko w zapusty wydarza.

Co znaczy ten kapelusz?

Woźny. W imieniu cesarza,

Słuchajcie!

Czeladnicy. Co to będzie? co on nam tu powie?

Cicho!

Woźny. Oto kapelusz, patrzcie się, mężowie,
Ten kapelusz w Altorfie będzie zawieszony
Na słupie, by go widać było z każdej strony.
Bo takie jest starosty niezmiennie żądanie,
Aby kapeluszowi to uszanowanie
I ta cześć, co starości była oddawana.
Każdy z odkrytą głową ma ugiąć kolana.
Król pozna, kto mu wierny — a za wykroczenie
Odpowie zuchwałego osoba i mienie.

Głośny śmiech pospólstwa. Trąbią i odchodzą.

Pierwszy czeladnik. Co też czyni starosta! co on jeszcze wznowi?

Kłaniać się i oddawać cześć kapeluszowi!

Czy też słyszał kto kiedy o podobnej rzeczy?

Kamieniarz. Kłękać przed kapeluszem! temu rozum przeczy.

Taka igraszka z ludzi nie jest pozwolona.

Pierwszy czeladnik. Gdyby to jeszcze była cesarska korona...

Lecz to znak austriackiej książęcej godności,

Widziałem go nad tronem, gdzie dają lenności.

Kamieniarz. Kapelusz austriacki... strzeżcie się złudzenia!

Chcą nas Austrii zaprzedać!

Czeladnicy. Takiego zhańbienia

Nikt uczciwy nie ścierpi!

Kamieniarz. To jest jakaś zdrada.

Chodźmy, o tem się wspólnie naradzić wypada.

Idą w głąb.

Tell do Szttaufachera. Słyszeliście, ja muszę odejść, bądźcie
[zdrowi.

Szttaufacher. Gdzie się spieszycie? czy was nic nie zastanowi?

Tell. Dom na mnie czeka... żegnam was, panie Wernerze.

Szttaufacher. O, nie chodźcie, pomówić z wami radbym szczerze.

Mam tak na sercu...

Tell. Słowa na to nie poradzą.

Szttaufacher. Ale słowa do czynów może doprowadzą.

Tell. Dziś tylko cierpliwości trzeba i milczenia.

Szttaufacher. Jakże to znosić dłużej, co nie do zniesienia?

Tell. Gwałtownie panujących krótkie panowanie.

Kiedy wichry z podziemnych pieczarów powstanie
Gaszą światło, do portu ściągają okręty,
A nie mając zawady żadnej, duch zawzięty
Przelatuje nad morzem i nie czyni szkody.
Niech każdy żyje w cieniu domowej zagrody,
Spokojność jest najlepszym sposobem obrony.

Sztaufacher. Tak myślicie?

Tell. Nie kasa wąż nierozdrażniony.
Spokojnymi nas widząc nasi dręczyciele,
Zmordują się.

Sztaufacher. W jedności moglibyśmy wiele.

Tell. Gdy okręt tonie, łatwiej wypłynąć jednemu.

Sztaufacher. Więc nędza ziomków obcą jest sercu waszemu?

Tell. Nikt nie jest pewnym drugich.

Sztaufacher. Lecz złączeni wzajem,
Choć słabi pojedynczo, mocnymi się stajem.

Tell. Cudze wsparcie silnemu nie przyczynia mocy.

Sztaufacher. Więc już ojczyzna waszej nie zyska pomocy,
Jeśli kiedy w rozpacz porwie się do broni?

Tell *podaje mu rękę*. Tell, co jagnię z bezdennej wyratował
Miałżeby ziomków swoich opuścić w potrzebie? [toni,
Do rady nie wzywajcie mnie pomiędzy siebie,
Nie moja rzecz zamysły rozważać na szali.
Lecz gdybyście do czynów mnie potrzebowali,
Wezwijcie Tella, on się stawi na wezwanie.

*Odchodzą w różne strony; nagły zbieg ludzi koło
rusztowania.*

Kamieniarz *przychodzi*. Co to?

Pierwszy czeladnik *wychodzi, wołając*. Ceglarz spadł z dachu.

Berta *wpada*. Wszechmogący Panie!

Ratujcie! oto złoto. *Rzuca klejnoty pomiędzy pospólstwo*.

Kamieniarz. Nic z waszego złota!

U was złoto nad wszystko: gdy jęczy sierota,
Gdy przez was ojciec dzieci, żona męża straci,
Wy myślicie, że pieniądz to wszystko opłaci.

Z waszem przyjściem zniknęły dni naszej swobody,
Z wami się rozpacz w nasze wcisnęła zagrody.

Berta *do powracającego dozorca. Żyje?*

Dozorca daje znak przeciwny.

O gmachu, łzami lud u zbudowany
Przekleństwa zamieszkają te nieszczęsne ściany!

Odchodzi.

SCENA CZWARTA.

Mieszkanie Waltera Firsta.

Walter First i **Arnold** *wchodzą razem z przeciwnych stron.*

Melchtal *wchodzi.* O mój panie Walterze!

Walter First.

Nie wychodźcie zgola!

Gdyby nas tu kto zastał... szpiegują dokoła!

Melchtal. Od ojca z Unterwalda macież jaką wiedzę?

Nie wytrwam już bezczynnie, gdyby więzień śledzę.

Mamże kryć się jak zbójca? dla jakiejże winy?

Łotr z rozkazu starosty mój zaprząg jedyny,

Woły mi brał. I cóż to, żem złamał mu palec?

Walter First. Nadtoście żywi... Był to starosty służalec,

On was przyszedł ukarać w zwierzchności imieniu,

Karę, jakkolwiek ciężką, trzeba znieść w milczeniu.

Melchtal. Ach! na taką bezczelność czyż się milczeć godzi?

On rzekł: Gdy chłop chce orać, niech sam w pługu chodzi!

Serce mi się krajało, gdy zuchwały sługa

Woły, kochane woły wypręgał mi z pługa.

Jeszcze nawet, jak gdyby czuły ucisk srogi,

Rycząc żałośnie, groźne nadstawiały rogi.

Nie mogłem znieść i zdrajcę uderzyłem kijem.

Walter First. O! gdy uczucia swoje my zaledwie kryjem,

Jakże się ma hamować młodzież popędliwa?

Melchtal. Żal mi ojca; wiek jego ciągłej pieczy wzywa.

Oba się ze starostą nienawidzą wzajem,

Bo ojciec zawsze mówił gorliwie za krajem.

Starosta nieszczęsnego dręczyć nie przestanie, —

On sam, syn tak daleko, któż za nim obstanie?

Niech ze mną co chce będzie, ja powrócić muszę.

Walter First. Poczekajcie... hamujcie popędliwą duszę,

Czekajmy pewnej wieści — oby dobrą była!

Ktoś puka... idźcie... może starosta przysyła...

Idźcie — tu niebezpiecznie, ja zawsze się trwożę,
Landenberger i w Uri dosięgnąć was może:

Ręce sobie podają, w tem tyranów sztuka.

Melchtal. I nam trzeba tak czynić, dla nas to nauka.

Walter First. Idźcie... zawołam, jeśli nie będzie nic złego.

Nieszczęsny! serce moje lęka się o niego.

Ale nacóż go trwożyć temi przeczuciami? —

Kto tam? strach mnie przeszywa, gdy kto ruszy drzwiami.

We wszystkich kątach czuwa podejście i zdrada,

W zaciszu domów naszych przemoc się zakrada.

Wkrótce przyjdzie do tego, tego dożyjemy...

Otwiera, z zadziwieniem widząc Wernera Sztaufachera.

Co widzę! to pan Werner! gość szacowny, drogi,

Nikt godniejszy nie wstąpił nigdy w moje progi.

Witajcie w moim domu! Niech się spytać godzi,

Co tu robicie w Uri? co was tu przywodzi?

Trzebaż wam?

Sztaufacher, *podając mu rękę*. Szwajcaryi dawnej, czasów daw-
[nych.

Walter First. Z wami są. Wy obrazem przodków naszych sław-
[nych

Siadajcie! Gość tak miły rzadkim gościem bywa.

Gdy na was patrzę, serce się we mnie rozplywa.

Cóż tam pani Gertruda, rozumem wslawiona,

Mądra córą Iberga, wasza zacna żona?

Siadźcie! Nigdy nie doznał szczęśliwszej godziny.

Każdy pielgrzym, co tylko z niemieckiej krainy

Przez szczyty Majnradcelu do Włoch się przedziera,

Wychwala dom i rzadką gościnność Wernera.

Lecz powiedzcie, czy prosto idziecie z Flueli?

Czyliście nic nowego u nas nie widzieli?

Sztaufacher *siada*. Widziałem gmach zaczęty, nie w dobrym
Nie cleszy mnie. to celu.

Walter First. Widziałeś tedy, przyjacielu.

Sztaufacher. Nieznana ojcom naszym budowa zaczęta,

W naszym kraju Twinghofu nikt nie zapamięta;

Prócz grobu, innej twierdzy nigdyśmy nie znali.

Walter First. Grób to wolności naszej, dobrzeście nazwali.

Sztaufacher. Przy was, panie Walterze, taić się nie godzi:

Nie sama to ciekawość do was mnie przywodzi,
Troski mnie dręczą, smutek spoczynku nie daje,
W domu zgryzota, u was zgryzotę zastaje.
Wszelką miarę przebrały nasze udręczenia,
A nie widzimy kresu nędzy i cierpienia.
Szwajcar swobody nawykł długimi wiekami,
I zawsze się łagodnie obchodzono z nami.
Nigdy podobne czasy u nas nie bywały,
Od kiedy stada pasą między temi skały.

Walter First. Prawda, co się to dzieje! jak dręczą bez miary!

Nawet nasz pan szlachetny, Atinghausen stary,
Co się dobrze przypatrzył wiekowi dawnemu,
Mówi, że niepodobna dłużej wytrwać złemu.

Sztaufacher. W Unterwaldzie dotknęła zbrodnie ciężka chłosta:

Wolfenszisen z Rosbergu, zamkowy starosta,
Zapragnął, ogniem sprośnej chuci uniesiony,
Mieszkającej w Alcelu Baumgartena żony.
Lecz mąż siekierą głowę rozciął mu na dwoje.

Walter First. O Boże! sprawiedliwe zawsze sądy twoje!

Baumgarten dobry człowiek... Ale cóż się dzieje?
Czy uszedł? czy ma jaką ratunku nadzieję?

Sztaufacher. Wasz go zięć przez jezioro w słabej przewiózł łodzi,

Jam go skrył w stajni, z mego domu nie wychodzi.
Lecz co się w Sarnen stało, to okropne rzeczy,
To oburza naturę i umysł człowieczy.

Walter First *słucha z uwagą.* Cóż takiego?

Sztaufacher. W Melchtalu, jak do Kernu ścieżka,

Znany z prawdziwej cnoty, Henryk z Haldu mieszka,
Człowiek wzięty, za sobą ma gromadę całą.

Walter First. Któżby go nie znał! Mówcie tylko, co się stało?

Sztaufacher. Syn jego coś zawinił, Landenberg za karę

Kazał z pługa najlepszą wziąć mu wołów parę
Chłopiec zanadto żywy, wybił przyszanego,
A sam uciekł.

Walter First *w największej niepewności.* Lecz cóż się dzieje
[z ojcem jego?

Sztaufacher. Starosta go sprowadza, grozić mu zaczyna,
Ażeby mu natychmiast przyprowadził syna;
On przysięga, że nawet nie wie o nim zgoła.
Ale starosta w złości na siepaczów woła —

Walter First *zrywa się i chce go poprowadzić na drugą stronę.*
Ach, dosyć! cicho...

Sztaufacher *głośniej.* »Syn twój uszedł mojej dłoni,
Ty mi za to odpowiesz, nic cię nie ochroni.
Bierzcie go!... I za srogim tyrana rozkazem
Obie mu oczy ostrym wykluto żelazem.

Walter First. Przebóg!

Melchtal *wpada.* Co? oczy!

Staufacher *zdziwiony, do Waltera Firsta.* Któż to?

Melchtal *porywa go z konwulsyjnym poruszeniem.* Oczy! czy
[być może?

Walter First. Nieszczęsny!

Sztaufacher. Któż ten młodzian?

Walter First daje mu znak.

Syn... o wielki Boże!

Melchtal. A ja tam być nie mogłem!... Oczy! obie oczy!

Walter First. Miej moc nad sobą... zwycięż ból, który cię tłoczy —

Melchtal. Z mojej winy, dla mego porywczego kroku,

Slepy!... Jako? zupełnie pozbawiony wzroku?

Sztaufacher. Zupełnie. Wypłynęło już źródło widzenia,

Już on nigdy nie ujrzy dziennego promienia!

Walter First. Miej litość!

Melchtal. Nigdy, nigdy! o wyroku srogi!

Zastania ręką oczy, milczy chwilę, potem obracając się od jednego do drugiego, mówi łagodnym, łzami przytłumionym głosem.

Oko jest dar niebieski, dar szlachetny, drogi,

Światło jest życia duszą; najmniejsza krzewina

Światłem żyje, ku słońcu gałązki nagina,

A on, mający czucie, w ciemnościach na wieki,

Napróżno będzie wznosił zbolale powieki.

Dla niego świeża trawka wśród wiosnianej pory,

I błękity obłoków, i kwiatów kolory,

Wszystko martwe. Śmierć niczem, śmierć cierpień oszczędza,

Ale żyć i nie widzieć — to okropna nędza! —
Pocóż litość nade mną? wszak mam oczy obie,
Cóż stąd? ojcu ślepemu jaką ulgę zrobię?
Z morza światła, co mojej źrenicy dotyka,
Nie mogę mu udzielić jednego promyka!

Sztaufacher. Jeszcze zamiast pociechy, ból wasz zwiększyć muszę:
Nie miały na tem końca okropne katusze,
Kij mu tylko zostawił gniew srogiego wroga,
Tuła się nędzarz ślepy od proga do proga.

Melchtal. Starzec ślepy o kiju! o męko bez końca!
Wszystko mu zabrał, wszystko, nawet światło słońca,
Dobro najbiedniejszego na świecie stworzenia. —
O! niech mi nikt nie radzi, bym szukał schronienia!
Nieszczęsny! cóżem zrobił! co za gnuśnik ze mnie!
Mógłżem własną ochroną zająć się nikičemnie,
A o tobie zapomnieć, i uchodząc kary,
Mógłżem zostawić ciebie w ręku tej poczwary! —
Precz, ostrożności podła! zemsta, zemsta woła!
Pójdę, o! pójdę, nikt mnie zatrzymać nie zdoła!
Pójdę! oczu ojcowskich dopomnieć się muszę.
Straż go nie zbawi! znajdę tę szatańską duszę,
Znajdę! i ten ból wściekły, co mi serce pali,
W krwi jego zgaszę... *Chce odejść.*

Walter First. Stójcie! cóżbyście wskórali?

On w pysznych murach Sarnu, na skały urwisku,
Szydzi z mdlej nienawiści w bezpiecznem siedlisku.

Melchtal. Choćby mieszkał w Szrekhornu lodowatym domu,
Lub wyżej, gdzie, od wieków nieznana nikomu,
Siedzi wiecznemi szrony Dziewica odziana,
Wydrapię się, mur skruszę, wywlokę tyrana!
Dwudziestu dzielnej młodzi wesprze mnie z ochotą.
A choćby nikt iść za mną nie chciał, mniejsza o to!
Jeśli wszyscy lękliwi o swoje zagrody,
Wolicie jęczeć w jarzmie, niż szukać swobody:
Tam, gdzie góry pod niebo wolną wznoszą głowę,
Gdzie zmysły jeszcze świeże, serca jeszcze zdrowe,
Na głos mojej rozpaczyny zbiegną się pasterze,
Opowiem czyn piekielny — zemstę im powierzę.

Sztaufacher do Waltera Firsta. Już się miara przebiera, zle
[nie ma granicy,

Mamyż czekać?

Melchtal. Co czekać, gdy nawet żrenicy,
Gdy nawet oka w głowie nic już nie ochroni!
Nie mamyżto toporów, nie mamyżto broni?
Zwierz w rozpacz ostatniej chwyta się obrony!
Nieraz długiem ściganiem jeleni wysilony,
Zwraca się i roztrąca zjadłe napastniki,
Nieraz w przepaść myśliwca zrzuca kozieł dziki.
Nawet i wół spokojny, to zwierzę domowe,
Co cierpliwie pod jarzmo silną zgina głowę,
Rozdrażnion, kopie ziemię, z oczu ogniem pryska
I rycząc, przeciwnika pod obłoki ciska.

Walter First. Jak będą trzy kantony ¹⁾ myśleć po naszymu,
Wówczas może zdołamy zapobiec złemu.

Sztaufacher. Niech tylko Unterwalden, niechaj Uri wzywa,
Szwycer będzie szanował odwieczne ogniwa.

Melchtal. W Unterwaldzie niemało mam przyjaciół wszędzie.

Każdy, skoro się dowie, że wspieranym będzie,
Każdy poświęci chętnie majątek i zdrowie.
O wy, kraju naszego roztropni ojcowie!
Choć wiek niedoświadczony jest mi na zawadzie,
Ze nie mogę mieć głosu w narodowej radzie,
Choć młody stoję między wami sędziwymi,
Nie gardźcie moją radą i słowy mojemu.
Nie krew młodości wrząca we mnie się odzywa,
Ale ucisk okropny i nędza straszliwa,
Której widokiem kamień byłby poruszony.
Wy także macie domy, majątki i żony,
Każdy z was pragnie, żeby syna się dochował,
Któryby świętą waszą siwiznę szanował
I wsparciem był w starości. O! choć jeszcze nędza,
Choć jeszcze przemoc sroga dotąd was oszczędza,
Chociaż jeszcze żrenica oczu waszych błyska,
Niech was wzruszy nieszczęście, które nas uciska.

¹⁾ Szwajcarya dzieli się na kantony, jakby oddzielne prowincye.

Już miecz tyranów wisi i nad waszą głową.

Wbrew Austrii gorliwi o wolność krajową

Tej samej, co mój ojciec, podpadliście winie.

Wspólny występpek, wspólna kara was nie minie.

Sztaufacher do Waltera Firsta. Namyślcie się, na wszystko jam
[przygotowany.

Walter First. Dowiedzmy się, szlachetne co też myślą pany:

Selinen, Atinghausen! Przyjaciół w narodzie

Pozyska nam ich imię.

Melchtal. W całym gór obwodzie

Czyż mogą być od waszych godniejsze imiona?

Wasza wziętość u ludu każdego przekona,

W rękojmię takich imion uwierzą ziomkowie.

Piękne dziedzictwo cnoty dali wam przodkowie,

Wyście je powiększyli. Szlachty nam nie trzeba,

Samiswego dopniemy przy pomocy nieba.

Dałby to Bóg, abyśmy w kraju byli sami,

Sprostaliibyśmy złemu własnymi siłami.

Sztaufacher. Szlachtę nie tak ciemieży tyranów potęga:

Powódź doly zalewa, wzgórków nie dosięga;

Ale jeśli kraj cały rzuci się do broni,

Nie odmówi nam szlachta wsparcia swojej dłoni.

Walter First. Gdyby jaki pośrednik mógł być do tej sprawy,

Wnetby spór rozstrzygnęły prawa i ustawy.

Lecz gdy najwyższy sędzia, cesarz uciemieża,

Ufajmy tylko Bogu i mocy oręża.

Zbierajcie mężów w Schwyzu, ja zgromadzę w Uri,

Ale kogóż pošlemy w unterwaldzkie góry?

Melchtal. Mnie pošlijcie — czyż o to idzie więcej komu?

Walter First. Nie może być, jesteście gościem w moim domu.

Ja miałbym was narażać?

Melchtal. Uspokójkcie twogę.

Znam w skałach każdy zakręt, każdą skrytą drogę,

Znajdę wiernych przyjaciół, co przed baczny wrogiem

Użyczą mi schronienia.

Sztaufacher. Niechaj idzie z Bogiem!

Tam niema zdrajców, przemoc tak jest niecierpiana,

Że nie może narzędzia znaleźć złość tyrana.

I Alcelczyk bezczynny w lesie nie zostanie,
Niechaj zbiera przyjaciół, urządza powstanie.

Melchtal. Gdzież donosić o każdym przedsięwziętym kroku,
Ażebym ujść baczego nieprzyjaciół wzroku?

Sztaufacher. W Brunen lub w Trajbie zejść się możemy bez
[obawy,

Gdzie do ładu kupieckie zawijają nawy.

Walter First. Ostrożność nam nie radzi jawnego działania;

Czynmy skryciej, mojego posłuchajcie zdania.

Nad jeziorem, do Brunen płynąc, z lewej strony

Jest prosto Mitensztejnu przesmyk utajony:

Rytli pasterz go zowie, bo dawnymi czasy

Wycięto na tem miejscu zarośla i lasy. *Do Melchtala.*

I tam naszych kantonów granica się schodzi.

Do Sztaufachera.

Wy ze Szwycu na lekkiej przypłyniecie łodzi,

My ścieżkami przejdziemy, noc nas zabezpieczy.

Tam się o pospolitej naradzimy rzeczy.

Każdy dziesięciu mężów zbierze w swojej stronie,

Bóg świadkiem będzie.

Sztaufacher. Zgoda! Podajcie mi dłonie.

Jak my trzech między sobą teraz w dobrej wierze

Ręce sobie podajem rzetelnie i szczerze,

Tak i my trzy kantony, uchodząc niewoli,

Zawsze wspierać się będziemy w szczęściu i niedoli!

Walter First i Melchtal. I w szczęściu i w niedoli!

Trzymają się za ręce, milcząc przez chwilę.

Melchtal. O mój ojczyzno!

Nie ujrzyś dnia świetnego wolności i chluby —

Ty go usłyszysz, ojczyzno! Gdy w jasnym płomieniu

Ognie z alpy ¹⁾ do alpy ogłoszą powstanie,

Gdy z zamków nie zostanie kamień na kamieniu,

Gdy lud swobodny twoje napelni mieszkanie:

W sercu twojem pociechy błysnie promyk złoty,

I jasno ci się zrobi w ciemnościach ślepoty.

¹⁾ Alpa — góra.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

Dwór barona Atinghausena. Sala gotycka, ozdobiona hełmami i herbowemi tarczami. Baron, starzec wysoki, szlachetnej postawy, z laską w ręku, na której róg z dzikiej kozy, futrem odziany. Kuoni i sześciu innych domowników stoją koło niego z grabiami i kosami. Ulryk Rudenz wchodzi w rycerskim stroju.

Rudenz. Cóż mi rozkażesz, wuju? słucham, i nawzajem...

Atinghausen. Pozwól, że najprzód starym przodków obyczajem
Z moimi domownikami ten napój podzielę.

Pije z kielicha, który potem obchodzi kolejną.

Dawniej w lesie i w polu byłem na ich czele,
Kiedy ich mój proporzec wiódł na pole chwały.
Dziś mnie szafarzem tylko zrobił wiek zgrzybiały.

I jeśli słońce w okno moje nie zawita,
To na skały wierzchołku już nie dla mnie świta.

W szczupłym okręgu wiodąc życie skolatane,
Nieza długo w najmniejszym, w najszczuplejszym stanie,
Kędy życie ustaje już z ostatniem technieniem;
Dziś własny cień, niedługo będę czczem imieniem.

Kuoni do Rudenza, podając kielich. Paniczu! pokosztujcie nie-
[bieskiego daru.

Gdy Rudenz kielicha nie przyjmuje.

Z jednego plynie serca, z jednego puharu.

Atinghausen. Już możecie rozejść się, moi przyjaciele,
O sprawach kraju radzić będziemy w niedzielę.

Domownicy odchodzą.

Atinghausen i Rudenz.

Atinghausen. Tak strojno? do Altorfu wybierasz się w drogę,
Na zamek?

Rudenz. Tak jest, wuju; odwlekać nie mogę.

Atinghausen siada. Pilno ci — i choć młody, tak masz czasu
[mało,

Że dla starego wuja chwili nie zostało.

Rudenz. Wuju! natrętnym gościem nie chcę być nikomu!

A widzę, że się stałem obcym w waszym domu.

Atinghausen, *mierząc go długo oczyma.*

Stałeś się — tego brakło w zgryzot moich liku:

Ty obcy w moim domu? Ulryku! Ulryku!

Już cię poznać nie mogę — w tej jedwabnej szacie,

W tym stroju napuszystym, w piórach i w szkarłacie.

Wieśniakiem gardzi twoja duma nieużyta,

Wstydzisz się, gdy rzetelny wieśniak cię przywita.

Rudenz. Zuchwalstwo karce; winną cześć każdemu daję.

Atinghausen. Ciężka zemsta królewska gnębi nasze kraje.

Przemoc, co się nad nami pastwić tak zacieka,

Wzrusza żalem każdego prawego człowieka.

Twój tylko zimny umysł wspólnych klęsk nie dzieli.

Odstępca własnych ziomków, stronnik dręczycieli,

Nieczułością królewskie skarbisz sobie łaski.

Płochę zabawy ścigasz, marne chwytasz blaski,

Niepomny na płacz krwawy całego narodu!

Rudenz. Prawda, że ucisk — ale z jakiegoż powodu?

Któż nas wtrącił w tę przepaść zwodniczą namową?

Wszak szło tylko o jedno nieznaczące słowo,

A ojczyzna z upadku byłaby wyrwana,

I w cesarzu chętnego mielibyśmy pana.

Biada temu, kto naród do tego przywodzi,

Że się dobru sprzeciwia i sam sobie szkodzi.

Dla własnej to korzyści burzą lud zbłąkany,

Aby Austrii hołdu nie składały stany,

Choć go dokoła wszystkie złożyły narody.

Zasiadać krzesło, dzielić szlacheckie swobody,

Tego chcą. Przecie, wuju, nad tem się zastanów:

W cesarzu chcemy pana, aby nie mieć panów.

Atinghausen. Ulryku, cóż mi z twoich ust słyszeć przychodzi!

Rudenz. Kazaleś, wuju, mówić, więc się mówić godzi. —

Czemże jesteś? czyż z twoim to zgadza się stanem?

Chceszże być zawsze tylko wiejskim laudamanem?¹⁾

¹⁾ Wieśniakiem.

Jestże to chluba władac w tym gminnym natłoku?
O! jak daleko piękniej, przy monarchy boku
Używać względów pańskich, usługą zyskanych,
Niżeli tu być panem swych własnych poddanych
I z wieśniakami razem zasiadać do rady.

Atinghausen. Ach, Ulryku! Ulryku! to są słowa zdrady,
To jest głos zwodzicieli! Oni cię złudzili,
Oni twoje niewinne serce zarazili.

Rudenz. Tak, wyznaję — to w głębi duszy mnie uciska,
Że jesteśmy dla obcych celem pośmiewiska,
Że nas każdy nazywa lichymi wieśniaki.
A dziś, gdy sława wzywa pod Habsburga znaki,
Gdy młódź szlachetna spieszy, pragnąc jej nabycia,
Ja miałbym na wsi trwonić wiosnę mego życia?
Tam za górami pole wiekopomnych czynów,
Tam piękny świat, tam żniwo rycerskich wawrzynów.
Tu mój hełm, moja tarcza rdzewieje na ścienie;
Ani orzeźwiający trąb wojennych brzmienie,
Ani słowa heroldów ¹⁾, głoszących turnieje,
Nie przedrą się w te góry, w te posępne knieje.
Tu ciągła jednostajność nudzi mnie i dręczy,
Zawsze tylko piszczałka, zawsze dzwonek brzęczy.

Atinghausen. Niebaczny! o, jak marny blask twe oczy mami!
Wstydź się ojczyzny własnej, pogardzaj ziomkami,
Uwłaczaj światobliwej ojców swoich enocie!
Kiedyś do gór ojczystych schnać będziesz w tęsknocie,
A te, którymi gardzisz, te dzwonki pastusze,
Niezbędnem przypomnieniem rozedrą twą duszę,
Jeśli ci w cudzej ziemi zabrzękną z daleka.
O, miłość kraju silną jest w sercu człowieka!
Nie dla ciebie świat obcy, łudzący pozorem:
Ty szczery, jak z obłudnym oswoisz się dworem?
Tam wśród dumy, wśród zbytkiem zarażonych krajów
Innych trzeba przymiotów, innych obyczajów.

¹⁾ Urzędnik, któremu powierzono przestrzeganie praw rycerskich podczas turnieju, t. j. zabawy, polegającej na walce rycerzy dla wykazania siły i zręczności.

Idź więc, zaprzęдай wolność, zrób się ich lennikiem ¹⁾
I z wolnego człowieka zostań niewolnikiem,
Ty, co możesz być panem na swej własnej ziemi.
Ulryku! mój Ulryku! zostań między swemi!
Ach! nie jedź do Altorfu, dla płochej zabawy
Nie rzucaj świętej kraju ojczystego sprawy!
Ostatni z mego rodu, już nad grobem stoję,
Skończy się z moją śmiercią pokolenie moje,
Ten hełm i tarczę zamkną ze mną razem w grobie.
Czyliż konając, muszę tak myśleć o tobie,
Iż czekasz, że jak tylko przejdę do wieczności,
Ty po moje dziedzictwo, po te moje włości
Pójdiesz tam, gdzie dwór naszą własnością obdarza,
I weźmiesz w austriacką lenność z rąk cesarza
To, co ja wziąłem z ręki Twojej, wielki Boże!
Rudenz. Świat już uległ królowi, cóż opór pomoże?
Myż to zdołamy, buntu karmiąc w sobie ducha,
Być przerwą ogromnego tylu państw łańcucha?
Król sady, miasta, drogi w ręku swoim trzyma.
Nawet muł, co przez Alpy przenosi pielgrzyma,
Oplaca się królowi — któż jemu wydola?
On nas siecią państw swoich otoczył dokoła.
Czy nam Rzesza da wsparcie? cóż to wsparcie nada!
Rzesza pod austriacką przemocą upada —
Nie ludzka dłoń, lecz chyba niebo nas ocali.
Może w zmianę cesarza będziemy ufali?
I to nadzieja próżna — wszak mamy dowody,
Że pod opiekę orla cisnące się grody
Cesarze, opłacając kosztowne wyprawy,
Przedawali lub Rzeszy puszczały w zastawy.
Tak, wuju — w tych nieszczęsnych czasach rozdwojenia
Roztropność każe z mocnym szukać połączenia.
Niestala jest monarchów obieralnych władza
I usług najwierniejszych nigdy nie nagradza.

¹⁾ Podwładny, zależny, mający od zwierzchnika ziemię i prawa.

Ale pozyskać względy dziedzicznej korony ¹⁾ —

To pewne, to stokrotne przyniesie nam plony.

Atinghausen. Ty chcesz być roztropniejszym, niż twój przodek,
[kowie,

Którzy kładli za wolność majątki i zdrowie!

Płyn do Lucerny — ujrzysz, w jakim kraj ten stanie,

Jak tam cięży żelazne Austrii panowanie. —

Przyjdą, pomierzą góry, trzody nam policzą,

W swobodnych nawet lasach wolność ograniczą;

Ich łakomstwo gościńce, mosty pozamyka,

Ostatni grosz wycisną z biednego rolnika,

Krew nam przelewać w cudzej rozkazują krainie.

Nie! jeśli krew ma płynąć, niechaj za nas płynie,

Taniej kupimy wolność, niżeli kajdany!

Rudenz. Cóż zdoła tłum pasterzy, na prędce zebrany,

Przeciw wojsku Albrechta ²⁾ i trudom bez liku?

Atinghausen. Poznaj wprzód tych pasterzy, niebaczny młody
[dziku!

Ja znam ich, niegdyś wiodłem ich na pole sławy,

Jam widział, jak w Fawency bój stoczyli krwawy.

O! niech tylko spróbują, niech przyjdą tyrany,

Nam, niechęcącym niewoli, narzucać kajdany!

Poznaj, jakich to ziomków niebiosu ci dały.

Nad znikome mamidła, nad ten blask nietrwały

Klejnot wartości własnej droższym jest daleko!

Swobodny naród dzielną zasłaniać opieką,

Być wodzem ludu, który w boju śmiercią gardzi,

To jest prawem szlachectwem, z tego bądźmy hardzi!

Związki wrodzone wzmocnij, z młodzieńczym zapalem

Przyłgnij do sprawy naszej i duszą i ciałem,

Poświęć wszystko dla drogiej, dla lubej ojczyzny!

Tu jesteś nakształt drzewa, ssącego grunt żyzny,

A w obcym świecie będziesz, jak ta wątła trzcina,

Którą na wszystkie strony lada wiatr nagina.

¹⁾ Austrija była wówczas dziedziczną własnością Habsburgów, godność cesarza zależała od wyboru Rzeszy.

²⁾ Cesarz Albrecht Habsburg.

O pójdź! Już tak dawno nie widział się z nami,
Jeden tylko dzień przepędź z swoimi ziomkami,
Przez jeden dzień chciej odwlec przedsięwziętą drogę!

Bierze go za rękę.

Rudenz. Wiąże mnie dane słowo — odwlekać nie mogę.

Atinghausen *puszcza jego rękę i mówi z powagą.*

Wiąże cię — lecz nie słowa, nie przysięg ogniwa,
Miłość to wiąże ciebie, miłość nieszcześliwa.

Próżno się taisz, serce ukryć się nie zdoła

Berta z Bruneku ciebie do Altorfu woła.

Ona cię przywiązała do cesarskiej sprawy,

Dla niej to odstępujesz i ziomków i sławy.

Lecz pomnij! — obietnicą tylko ciebie zwioda.

Jej ręka prawych czynów nie będzie nagrodą!

Rudenz. Dostyc słyszałem, dosyć. Wuju, bądźcie zdrowi!

Odchodzi.

Atinghausen. Poczekaj! — Poszedł. — Już go nic nie zastanowi,

Idzie ślepy, i wszystkie względy z oczu traci.

Tak Wolfenszysen swoich opuścił współbraci,

Tak i drudzy uczynią — w przepaść lecą młodzi,

Nierozważne umysły obcy blask uwodzi.

Bóg palcem gniewu swego dotknął naszą ziemię!

Nieszczęsna ta godzina, w której obce plemię,

Przyszedszy w te spokojne i szczęśliwe kraje,

Skaziło starożytne proste obyczaje! —

Przemija wiek szlachetny, błogi i niewinny,

Inne dziś pokolenie, i świat nastał inny.

Nowość gwałtem się ciśnie, — sam ja cóż tu robię?

Ci, którzy ze mną żyli, już od dawna w grobie.

Moje czasy i związki, wszystko to już w ziemi!

Biada tym, co żyć jeszcze muszą z dzisiejszemi.

Odchodzi.

SCENA DRUGA.

Łąka, otoczona lasem i wysokimi skałami. Po skałach ścieżki z poręczami, gdzieś drabiny, po których później zstępują wieśniacy — w głębi sceny jezioro, nad którym z początku widać tęczę księżycową. Widok zamykają wysokie góry, za którymi dalej jeszcze wyższe lodowate skały. Na scenie noc zupełna, tylko jezioro i białe lodowce w jasnym świetle księżyca.

Melchtal, Baumgarten, Winkelrid, Majer Sarnen, Burghart Bühel, Arnold Sewa, Klaus Flue i czterech innych wieśniaków, wszyscy zbrojno.

Melchtal *jeszcze za sceną.* Tu wąwóz coraz szerszy; — za mną,
[bracia, śmiało!

Widzę wyraźnie skałę i krzyż ponad skałą.

To Rytli! Wchodzą z latarniami.

Winkelrid. Bacność!

Sewa. Pusta zupełnie dolina.

Majer. My pierwsi z Unterwaldu.

Melchtal. Która to godzina?

Baumgarten. Stróż w Selisbergu wołał drugą.

Słychać dzwon daleki.

Majer. Towarzysze!

Posłuchajcie!

Bühel. Wyraźnie odgłos dzwonka słyszę.

Pewnie na jutrznią w Szwycu na kaplicy w lesie.

Flue. Powietrze jest pogodne, dźwięk daleko niesie.

Melchtal. Idźcie kilku, drew znieście, zapalcie ogniska,

Niech zdala towarzyszom płomień jasno błyska.

Dwaj wieśniacy odchodzą.

Sewa. Noc śliczna, księżyc świeci, a wody jeziora

Gładkie jak szkło.

Bühel. To naszym do podróży pora.

Winkelried *pokazuje się na jeziorze.* Patrzcie, czy widzicie?

Majer. Cóż was tak zachwyca?

Ha! prawda, tęcza w nocy!

Melchtal. Od blasku księżyca.

Flue. Osobliwe zjawisko! pewnie takich mało,

Którymby się podobne w życiu widzieć dało.

Sewa. Podwójna, — z wierzchu bledsza, a żywsza na spodzie.

Baumgarten. Właśnie pod nią łódź jakaś sunie się po wodzie.

Melchtal. To jest łódź Sztaufachera — poznaję z daleka.

Pocziwy! on przybycia swego nie odwleka.

Odchodzi z Baumgartenem ku brzegowi.

Majer. Najdłużej widzę, bawią się mieszkańcy Uri.

Bühel. Oni muszą opodał obchodzić przez góry,

Chcąc ująć szpiegów starosty, których jest tak wiele.

Tymczasem dwaj wieśniacy rozkładają ogień na środku.

Melchtal na brzegu. Kto wy jesteście? hasło!

Sztaufacher z dołu.

Kraju przyjaciele!

*Wszyscy w głąb idą naprzeciw przybywającym z łodzi. Wy-
siadają Sztaufacher, Itel Reding, Jan Mauer, Jerzy Hofe, Konrad*

Hun, Ulryk kowal i trzech innych, wszyscy zbrojno.

Wszyscy, wołając. Witajcie!

*Gdy inni witając się, w głębi zostają, Melchtal i Sztaufacher
naprzód wychodzą.*

Melchtal. O Wernerze! Widziałem, o Boże!

Widziałem tego, który widzieć mnie nie może,

Wydartych jego oczu ręką dotykałem,

W zgaszonym świetle wzroku żądzę zemsty ssalem.

Sztaufacher. Nic o zemście — nie mścić się za to, co minęło!

Lecz przyszłe złe odwracać, to jest nasze dzieło.

Powiedzcie, cóż się w kraju unterwaldzkim dzieje?

Jakąż dla naszej sprawy możemy mieć nadzieję?

Jak tam myślą, i jakim sposobem wy sami

Uszliście siodeł zdrady?

Melchtal. Pomiedzy skalami,

Przez gór sureńskich lodem pokryte urwiska,

Przez śnieżne puszcze, sępów drapieżnych siedliska,

Doszedłem do połonin tej alpejskiej góry,

Gdzie nieraz z Engelbergu pasterze i z Uri,

Przywitawszy się z dala, razem pasą stada.

Pragnieniem gasił wodą, która z szumem spada

Przez głębokie, w lodowcach wyżłobione jary.

Wstępowałem w ustronne pasterskie koszary,

Sam w nich gość i gospodarz: — tak po długim trudzie
Szedłem, gdzie w domach siedzą towarzyscy ludzie.
Już tam o strasznej zbrodni rozległy się wieści,
W nieszczęściu byłem celem świątobliwej cześci
W każdej chacie, do której tylko zapukałem.
A ci wszyscy mężowie przejęci zapalem
Z największym wstrętem widzą ten ucisk nieprawy.
Bo jak w Alpach jednakie zawsze rosną trawy,
Jak potoki, a nawet i wichry i chmury
Jednostajny prąd mają według praw natury,
Tak u nich starożytne proste obyczaje
Pradziad późnym potomkom w całości podaje.
I w życia jednostajnym oddawna sposobie
Nikt zuchwalej odmiany nie pozwala sobie.
Wszyscy mi podawali pracowite dłonie,
Każdy chwytał na ścianach rdzewiejące bronie,
Każdemu twarz pałała, męstwem wyiskrzona,
Gdy w górach szanowane wspomniałem imiona
Was i Firsta. — Co tylko wam zdawać się będzie,
Przysięgli zrobić: z wami przysięgli iść wszędzie.
Tak świętą gościnności tarczą zasłoniony,
Idąc z domu do domu, różnem zwiedzałem strony,
A kiedy do ojczystej przybyłem doliny,
Do siedlisk moich krewnych i mojej rodziny,
Gdy w cudzej chacie ojca zastałem ślepego,
Nędzarza, z miłosierdzia ludzi żyjącego —

Sztaufacher. O Boże!

Melchtal. Nie płakałem, ni przez jęk niewieści
Nie marniełem brzemienia piekielnej boleści,
W piersiach go, jak skarb drogi głęboko zamknąłem,
I bądź co bądź stanowczo działać przedsięwziąłem.
Wdrapałem się na strome skał zakretnych szczyty,
Sledziłem każdy padół, w pośród gór ukryty,
Aż po samych lodowców obwód lodowaty
Szukałem, i znalazłem zamieszkane chaty,
A wszędzie zastał, którą tylko stąpił strona,
Nienawiść ku tyranom w sercach zagnieżdżoną.
Bo aż po same krańce ożywionych tworów,

Gdzie już grunt skrzepli żadnych nie wydaje zbiorów,
Jeszcze zdziera i ciśnie łakomy wydzierca.

Wszędzie bodźcem słów moich rozdrażniałem serca,
I wszyscy są za nami i duszą i ciałem.

Sztaufacher. Tyle! w tak krótkim czasie.

Melchtal.

Na tem nie przestałem.

Twierdze Rosberg i Sarnen, postrach naszej ziemi,

Z których tyran, zakryty wały skalistemi

Siedząc, próżen obawy, cały kraj uciska,

Chciałem zwiedzić, na własne oczy przejrzeć z bliska.

Byłem w Sarnen.

Sztaufacher.

Co? śmiałeś w gniazdo tej poczwary —

Melchtal. Szatą pielgrzyma tajne pokryłem zamiary.

Wpośród hucznej biesiady zbyt kował morderca.

Osądźcie, czyli jestem panem mego serca:

Widziałem go przed sobą, nie zabiłem przecie.

Sztaufacher. Waszej odwadze sprzyja szczęście, rzadkie w świecie.

Inni wieśniacy przybliżają się do nich.

Lecz chcecie mnie z mężami zaznajomić tymi,

Z zacnymi przyjaciół; chcę się poznać z nimi,

Zbliży się, niechaj serce sercu się otwiera.

Majer. Któżby nie znał w tym kraju pana Sztaufachera!

Ja jestem Majer z Sarnen, a to mój siostrzeniec,

Sztrut Winkelrid.

Sztaufacher.

Znanego imienia młodzieniec:

Winkelrid zabił smoka w błotach przy Wailerze

I sam zginął.

Winkelrid.

Mój pradziad, panie Sztaufacherze.

Melchtal *wskazuje na dwóch wieśniaków.*

Ci obadwa z za lasu, poddani zakonu.

Choć nie mają własnego, tak jak my, zagonu,

Chociaż są engelberskich księży poddanymi,

Spodziewam się, że przeto nie wzgardzicie nimi.

Kochają kraj i slyną, jako ludzie prawi.

Sztaufacher *do obydwóch.* Dajcie rękę — niech każdy los swój

[błogosławi,

Kto w życiu osobistej wolności używa!

Cnota jednak i wiara w każdym stanie bywa.

Hun. To pan Reding, co naszym jest altlandamanem ¹⁾.

Majer. Znamy się oba — ja się prawuję z tym panem.

Panie Reding, niech kłótnia do sądu zostanie,

Tu zgoda między nami. *Ściska go za rękę.*

Sztaufacher.

To chwalebne zdanie.

Winkelrid. Słuchajcie! już nadchodzą, słyhać trąbę Uri.

Z lewej i prawej strony schodzą z gór zbrojni ludzie z latarniami.

Mauer. Wszakże to sługa Boży sam zstępuje z góry.

Nie dba na ciemność nocy, nie żałuje trudu,

To kapłan bogobojny, wierny pasterz ludu.

Baumgarten. First, Peterman, lecz czemuż Tell nie idzie z nimi?

Walter First, Reselman pleban, **Peterman** kościelny, **Kuoni** pasterz, **Werni** strzelec, **Ruodi** rybak *i pięciu innych wieśniaków, potem wszyscy w liczbie trzydziestu trzech wychodzą naprzód i stają koło ognia.*

First. Więc w naszym własnym kraju, na ojczystej ziemi,

Jak złoczyńcy pokątne robimy narady,

I w nocy — która słońca strzegące się zdrady,

Która pod czarną szatą tajne kryje zbrodnie,

My naszych praw szukamy, wydartych niegodnie!

Praw tak jasnych i czystych, jak słońca promienie.

Melchtal. Nic nie szkodzi. — Co nocne dziś usnują cienie,

Swobodnie i wesoło zabłyśnie na jawie.

Reselman. Posłuchajcie! Bóg myślą natchnął mię łaskawie.

Gdy potrzeby narodu nas tu powołały,

Możemy się za naród poczytywać cały.

Zróbmyż sejm, według przodków starego zwyczaju,

Jak się w spokojnym czasie zwykło w naszym kraju.

Jeśli co nieprawego zajdzie w tym obrzędzie,

Potrzeba nas wymówi; ale Bóg jest wszędzie,

Gdzie tylko człowiek jego rządzi się prawami,

On widzi nas, i jego niebo jest nad nami.

Sztaufacher. Sejmujemy po dawnemu — choć się zaciemniało,

Prawo nasze nam świeci.

¹⁾ Starszym we wal, wójtem.

Melchtal.

Chociaż nas tu mało,

Lecz najlepsi są z nami i narodu chęci.

Hun. Ksiąg nie mamy przy ręku, lecz żyją w pamięci.

Reselman. Stańmyż wszyscy dokoła i władzy znamiona,
Miecze zatknijcie!

Mauer.

W pośród sejmujących grona

Niech landaman ¹⁾ zasiądzie, a przy jego boku

Niech staną woźni.

Peterman.

Trzeba najpierwej wyroku,

W którym z trzech ludów wodza wybierać wypada?

Majer. Niechaj Szwyc albo Uri ten zaszczyt posiada,

My z Unterwaldu chętnie odstepujem sami.

Melchtal. My, błagając o wsparcie, stajemy przed wami.

Sztaufacher. Mieszkańcy Uri mają prawo do tej sławy:

Ich sztandary nas wiodły na rzymskie wyprawy.

First. Szwycerzy miecz otrzymać winni bezwątpienia,

Wszak się wszyscy chlubimy rodem z ich plemienia.

Reselman. Bracia! połóżcie koniec tej szlachetnej zwadzie:

Uri w boju, Szwyc niechaj przewodniczy w radzie!

First *podaje miecze Sztaufacherowi.* Weźcie miecze.

Sztaufacher.

Ten zaszczyt należy wiekowi.

Hofe. Ulryk kował najstarszy.

Mauer.

Przeciw Ulrykowi

Nie mam nic, lecz poddany na urząd niezdolny;

Nie może w Szwycu sądzić — tylko człowiek wolny.

Sztaufacher. Pan Reding altlandaman stoi w naszym rządzie,

Gdzie godniejszy od niego?

First.

Dobrze, niechaj będzie

Jako aman ²⁾ w sejmowym przodkujący gronie.

Kto się zgadza na wybór, niech podniesie dłonie!

Wszyscy podnoszą prawą rękę.

Reding *staje w środku.* Nie mogę dotknąć ręką poświęconej
[księgi,

Lecz te gwiazdy nad nami świadkiem mej przysięgi,

Ze nigdy ustaw moja nie przekroczy władza.

¹⁾ Sąsiad, mieszkaniec tej samej wsi. ²⁾ Przewodniczący.

*Zatykają w ziemię przed nim dwa miecze, stają wszyscy ko-
łem, Szwyc w środku, Uri z prawej, Unterwalden z lewej
strony. — Reding stoi na mieczu oparty.*

Jakiż powód trzy ludy góralskie zgromadza

Na dziki brzeg jeziora do północnej rady?

Jakież nowego związku mają być zasady,

Który dziś tu, pod niebem, zawrzeć z sobą mamy?

Sztaufacher *wchodzi w koło.* Nie jest to związek nowy: tylko
[odnawiamy

Związki przodków, od dawna łączące narody.

Tak, bracia! choć nas dzielią i góry i wody

Choć każdy lud ustawy rządzi się własnemi,

Ród nasz jeden, krew jedna, wszyscy z jednej ziemi

Tu przyszliśmy.

Winkelrid. Więc w pieśniach nie jest fałsz zmyślony,

Żeśmy z krajów dalekich przybyli w te strony.

Powiedzcie, coście o tem słyszeli zdarzeniu,

Wzmocni się związek nowy w dawnym przypomnieniu.

Sztaufacher. Pieśni starych pasterzy tę wieść zachowały,

Że lud wielki, w północnych krajach zamieszkały,

Uchwalił, aby losem, z powodu drożyzny,

Co dziesiąty mieszkaniec wychodził z ojczyzny.

Narzekając na losy, posłuszni sejmowi,

Z dziećmi, z żonami, tłumem szli ku południowi.

Drąc się przez kraj niemiecki twardymi zapasy,

Przybyli między góry i odwieczne lasy

I na tej się dopiero oparli dolinie,

Gdzie Muota łąkami ubarwiona płynie.

Nigdzie tam ludzkich śladów oko nie widziało,

Prócz człowieka u promu i chaty pod skałą.

Lecz jezioro wzdętymi kipiało balwany.

Nie mogąc płynąć, poszli zwiedzić kraj nieznany,

A widząc bujne lasy i czyste krynice,

Mniemali, że ojczyście widzą okolice.

Umyślili więc zostać i w zamiarze stali,

Starodawne miasteczko Szwyc wybudowali.

Pożyli jednak trudów i pracy немало,

Nim się zarosłe bory wykarczyc udało;

Później, gdy kraj nie starczył ilości mieszkańców,
Przeszli za czarną górę aż do owych krańców,
Kędy — wiecznotrwałymi zakryte lodami,
Insze ludy innymi mówią językami.
Miasto Sztanc u Kernwaldu wtedy założyli,
Altorf w dolinie Rejsy; ale w każdej chwili
Zpóśród obcych pokoleń późniejszych przychodni,
Pomni na swój początek, rodu swego godni,
Różnią się krwią i sercem szwycarscy mężowie.

Podają ręce na prawo i lewo.

Mauer. Jedna w nas krew i serce, wszyscyśmy ziomkowie!
Wszyscy, *podając sobie ręce.* Wszyscyśmy swoi! jedność między
[nami święta!

Sztaufacher. Jeszcze ludy dźwigają cudzoziemskie pęta,
Poddawszy się zwycięzcy. — Są i w naszej ziemi
Saksony, obarczone więzy poddańcami,
Syn po ojcu dziedziczy niewolnicze brzemię.
Lecz my — dawnych Szwajcarów nieodrodne plemię,
Strzegąc swobód, żadnego nie uznając pana,
Nigdyśmy przed książęty nie zgięli kolana —
Tylko opiekę Rzeszy przyjęliśmy sami.

Reselman. Cesarz miał z naszej woli opiekę nad nami,
Tak wyrażono w piśmie cesarza Frydryka ¹⁾.

Sztaufacher. Bo najwolniejszy człowiek nie jest bez zwierzchnika.
Musi być głowa, sędzia najwyższy narodu,
Aby sprawy rozstrzygał: z tego więc powodu
Temu, co Włoch i Niemiec mocarzem się zowie,
Zaszczyt zwierzchności nasi przyznali przodkowie
W kraju, co leżał pustką od wieków nietknięty.
I wraz z innymi w Rzeszy wolnymi książęty
Przyrzekli mu usługę swojego oręża.
Jest bowiem powinnością swobodnego męża
Rzeszę, która go broni, wspierać swem ramieniem.

Melchtal. Co tylko więcej nad to, niewoli znamieniem.

Sztaufacher. Gdy wici ²⁾ na wojenną wezwały wyprawę,
Pod sztandarami Rzeszy wiodli wojny krwawe;

¹⁾ Fryderyk I Barbarosa, Sztaufen. ²⁾ Wezwanie.

Szedł z cesarzem Szwajcarów hufiec uzbrojony,
Gdy się we Włoszech rzymskiej dobijał korony.
Lecz sami zawsze w swoim rządzili się kraju
Według ustaw i przodków starego zwyczaju;
Jemu bowiem sąd miecza oddali jedynie.
Możny hrabia, co w naszej nie mieszkał krainie,
Wyznaczon był do sądów z ramienia cesarza,
I gdy miano na gardle ukarać zbrodniarza,
Pełniąc pod niebem urząd sędziego wysoki,
Według sumienia jasne wydawał wyroki.
Gdzież tu jest ślad niewoli? gdzież jest podleganie?
Niech wystąpi i mówi, kto ma inne zdanie.

Hofe. To, coście rzekli, z prawdą rzetelną się zgadza,
Nie powstała w tym kraju samowolna władza.

Sztaufacher. Sam cesarz z naszej strony doznawał oporu,
Kiedy chciał praw naruszyć na korzyść klasztoru.
Księża z Ajnzydlu górę sobie przywłaszczali,
Na której zdawna nasi przodkowie pasali.
Opat pargamin ¹⁾ stary na dowód podawał,
Że cesarz im darował tej pustyni kawał;
O nas nie było wzmianki w tem piśmie zwodniczem.
Lecz myśmy rzekli: Wszystkie te pisma są niczem,
Cesarz własności naszej nie może darować,
I gdy Rzesza praw naszych nie chce nam dochować,
My w górach i bez Rzeszy obejść się zdołamy.
Tak mówili przodkowie; a my dzisiaj mamy
W nowe, sromotne więzy podać nasze dłonie,
Znieść od służalców, czego żaden król na tronie
Nie powinien się nigdy dopuszczać bez kary?
Myśmy ten kraj stworzyli, my głębokie jary,
Odwieczne bory, wilków dzikie legowiska,
Naszą pracą zmienili na ludzkie siedliska:
Wybiliśmy w moczarach gadziny i żmije,
Co z błot jadem nabrzmiałą podnosiły szyję;
Mgły, co tę dziką puszcę wiecznie odziewały,
Rozproszyliśmy, — twarde skruszyliśmy skały;

¹⁾ Skóra gładko wyprawna, zastępująca papier.

Myśmy, pragnąc podróżnym ulżyć niewygody,
Po wiszarach bezpieczne stawili przechody:

Nam tę ziemię nadały praca i staranie,
I ciągle od dziesięciu wieków posiadanie.

A dziś, na tejże ziemi służalec przysłany —

Obelgą, zelżywymi dręczy nas kajdany!

Żadnejże w tym ucisku nie znajdziem obrony?

Wielkie poruszenie między wieśniakami.

O! nie — władzy tyranów jest kres wymierzony.

Gdy lud nie ma już nigdzie ulgi w uciśnieniu,

Gdy nie może wydolać nieszczęścia brzemieniu,

Sięga z dobrą otuchą w niezbędną potrzebie

Po swoje prawa, wiecznie trwające na niebie,

Co są jak gwiazdy nigdy nieskazitelnymi.

Stan pierwotnej natury powraca na ziemi,

Człowiek w bliźnim człowieka mając przed oczyma,

Innych środków pozbawion, oręża się ima.

Tak! Gdy nas gwałt odziera z pierwszych dóbr człowieka,

Bronić się mamy prawo; kraj zbawienia czeka,

Niech żony, dzieci nasze oręż zabezpiecza!

Wszyscy, brzęcząc pałaszami. Brońmy żon, dzieci naszych!

Reselman *wchodzi w koło.*

Przed dobyciem miecza

Zważcie, czyli nie lepsza z cesarzem umowa?

Jedno słowo powiedzcie; mocą tego słowa

Tyrani się waszymi przyjaciółmi staną.

Zróbcie to, czego od was tyle razy chciano:

Zerwicie z Rzeszą, z Austryą połączcie się sami.

Mauer. Co on mówi? z Austryą? my hołdownikami!

Bühel. Nie słuchajcie go!

Winkelrid.

Zdrada! zdrajcę znać w tej mowie!

Nieprzyjaciela kraju!

Reding.

Powoli, ziomkowie!

Sewa. My, po tylu cierpieniach, poddawać się mamy?

Flue. My wymódz to na sobie dziś przemocą damy,

Czego nie mogli wprzód zyskać z naszej woli?

Majer. O! toby nas zrobiło godnymi niewoli!

Mauer. Niech ten z grona Szwajcarów wytracon zostanie,

Kto wspomni o poddaniu! — żądam, landamanie,
Aby to była nasza najpierwsza ustawa.

Melchtal. Kto wspomni o poddaniu, odsądzon od prawa,
Niechaj czci, ani wiary nigdy nie pozyska,
Niechaj go nikt nie przyjmie do swego ogniska.

Wszyscy *podnoszą prawą rękę.* Niech to będzie ustawa; cały
[sejm się zgadza.

Reding *po chwili.* Już jest.

Reselman. To was dopiero prawo oswobadza.

Austria zyskać groźbą nie zdoła surową,
Czego nie pozyskała spokojną namową.

Weiler. Do dziennego porządku!

Reding. Współobywatele!

Może bez wiedzy króla cierpimy tak wiele.
Szukaliżście wszystkich sposobów do zgody?
Może król nie chce naszej krzywdy ani szkody,
Może na skargi nasze chętne ucho skłoni.
Zróbmy ten krok ostatni przed dobytciem broni.
Wojna, choć sprawiedliwa, straszną jest i srogą,
A Bóg wtenczas pomaga, gdy ludzie nie mogą.

Sztaufacher *do Konrada Huna.* Konradzie! wyście mówić po-
[winni w tej porze.

Hun. Ja byłem u Rajufeldu na cesarskim dworze,
Skarżąc gwałty starostów i uciemiężenie
I prosząc o wolności naszych potwierdzenie,
Jak zwykli czynić nowo obrani królowie.
Z nadreńskich miast i szwabskich byli tam posłowie,
I wszyscy odebrawszy swoje przywileje,
Nieśli w domowe progi radość i nadzieję.
A mnie, waszego posła, w tejże samej chwili,
Konsyliarze ¹⁾ cesarscy z niczem odprawili,
Mówiąc, że cesarz, mając inne zatrudnienia,
Może kiedyś roztrząśnie nasze zażalenia.
Zasmucon, zamkowemi idąc komnatami,
Ujrzałem księcia Jana, zalanego łzami.
Wart i Tegernfeld, przy nim będący panowie,

¹⁾ Doradcy.

Rzekli mi: wy o sobie radźcie, Szwajcarowie,
W sprawiedliwości króla próżne zaufanie!
Nie wzrusza go własnego synowca błaganie.
Księżę chciałby już rządzić, ma lata po temu,
A cesarz wiano matki wydziera biednemu.
Krzywdzi sierotę, dziecko rodzonego brata,
I chce, aby w klasztorze zakopał swe lata.

Mauer. Słyszycie, że na skargi nasze cesarz głuchy,
Sami radźcie o sobie, nie tracąc otuchy!

Reding. Sami się więc ratujmy; — oreź celu dopnie,
Lecz radźcie, aby zamiar wykonać roztropnie.

First *wchodzi w koło.* Celem jest naszym z jarzma wybawić
[ojczyznę,

Stare prawa, tę przodków najświętszą spuściznę,
Pragniemy zachowywać i ściśle przestrzegać.
Nigdy się za nowością nie będziem ubiegać,
Własność nawet cesarska zostanie w całości.
Kto służy, niechaj pełni swoje powinności.

Majer. Ja lenność austriacką mam nadaną sobie.

First. Dopełniajcież warunków w zwyczajnym sposobie.

Weiler. Ja panom z Raperswilu płacę z swojej ziemi.

First. Płaćcież więc i czynszujcie, jak czasy dawnymi.

Reselman. Ja klasztoru w Zurychu zwierzchnictwo uznaję.

First. Oddajcie klasztorowi, co każą zwyczaje.

Sztaufacher. Ja lenność swoją trzymam od Rzeszy jedynie.

First. Zróbmy, co trzeba, ale miara w każdym czynie!

Zamki dobyć, starostów i sługi wypędzić,

Lecz ile tylko można, krwi rozlewu szczedzić.

Niech cesarz wie, że w smutnej, niezbędnej potrzebie
Hamulec obowiązków zrzuciliśmy z siebie.

A widząc, że w granicach porządku zostaję,

Może się nie odważy mścić nad naszym krajem,

Bo naród zbrojny, gdy się do pokoju skłania,

Strasznym jest i słusznego godnym poważania.

Reding. Radźmy więc, jak to zrobić, nieprzyjacieli zbrojny
Nie ustąpi spokojnie.

Sztaufacher. Ustąpi bez wojny,

Kiedy nas z mieczem w dłoni ujrzy niespodzianie.

Majer. Łatwe to są wyrazy, trudne wykonanie.

Tu dwa zamki warowne szkodzić mogą snadnie,
A cóż będzie, jeżeli cesarz z wojskiem wpadnie!
Nim trzy ludy powstaną, jest rzeczą konieczną
Zdobyć Rosberg i Sarnen.

Sztaufacher. Zwlekać niebezpieczno.

Nadto wielu osobom związek nasz jest znany,
I mogą się o wszystkim dowiedzieć tyrany.

Majer. Niema zdrajcy w kantonach.

Reselman. Zapal zdradzić może.

First. Zwłoka nieprzyjaciółom w Altorfie pomoże,
Twing skończony starostę bardziej zabezpieczy.

Majer. Własnej korzyści chcecie.

Sigrist. Wy niesłusznej rzeczy.

Majer obrażony. Jako? niesprawiedliwość Uri nam zadaje!

Reding. Koledzy! zgoda!

Majer. Gdy Szwyc za wami obstaje,
To dla nas nic już niema, nic oprócz milczenia.

Reding. Upominam w obliczu tego zgromadzenia,
Aby zgody nie zrywać przez kłótnie i swary.
Wszyscy mamy cel jeden, jednakie zamiary.

Winkelrid. Niech się wszystko na Boże Narodzenie ziści,
Bo zazwyczaj w to święto wszyscy koloniści
Niosą dary starości; więc na zamek razem,
My kilkunastu, z dobrze ukrytem żelazem,
Choć zbrojnych straż nie puszcza, łatwo się wmieszczamy,
Wbijem na kij żeleźce, opanujem bramy,
Damy znak trąbą innym, ukrytym wśród boru,
Wpadną — i zdobędziemy zamek bez oporu.

Melchtal. Ja wejść do Rosbergu, na siebie to biore,
Mam znajomą dziewczynę, która w nocną porę
Spuści z muru drabinę, zbudzona ode mnie.

A ja na mur kolegów wyciągnę wzajemnie.

Reding. Czy wszyscy chcecie odwlec do dni kilkunastu?

Większość podnosi ręce.

Sztaufacher *rachuje głosy.* Jest większość zdań dwudziestu prze-
[ciwko dwunastu.

First. Gdy zamki razem padną, gdy na wszystkie strony

Błyśnie po górach ogień, na znak zapalony,
Kiedy w stolicy każdej ziemi niespodzianie
Pospolite ruszenie pod bronią powstanie,
Natenczas starostowie, widząc naród zbrojny,
Zaręczam, że niepewnej poprzestawszy wojny,
Z ochotą przyjmą wolne wyjście z naszej ziemi.

Szttaufacher. Najstraszniejszym jest Gesler z żołnierzami swymi.

Nie ustąpi bez walki, a nawet on wszędzie,
Chociaż wygnany, zawsze dla nas strasznym będzie.
Puścić go jest rzecz trudna, niebezpieczna prawie.

Baumgarten. Gdzie źle, tam mnie postawcie; w świętej kraju
[sprawie

Oddam życie. — Tellowi winienem obronę,
Cześć moja ocalona, serce nasycone.

Reding. Bądźmy tylko cierpliwi, z czasem przyjdzie rada,
A nakoniec i szczęściu zaufać wypada.

Lecz kiedy my sejmujem wśród nocnych cieni,
Już szczyty gór najwyższych jutrzeńka promieni.
Rozejdźmy się, bo biały dzień nas tu zastanie.

First. Nie bójcie się: w dolinach powolne świtanie.

*Wszyscy pomimowolnie zdjęli kapelusze i z milczącą skruchą
patrzą na jutrzeńkę.*

Reselman. Stwierdźmy teraz jutrzeńką związek uroczysty

W obliczu tej jutrzeńki, której promień czysty
Wprzód nas wita od wszystkich pod nami narodów,
Ciężko oddychających wśród błotnistych grodów:
Chcemy być jednym ludem, i w żadnej potrzebie,
W żadnem niebezpieczeństwie nie opuścim siebie!

Wszyscy powtarzają za nim, podniósłszy trzy palce.
Chcemy żyć wolni, cel nasz przodków wolność święta,
Wolimy wszyscy zginać, niżli dźwigać pęta!

Jak wyżej.

Chcemy zaufać Tobie, Wszechmogący Boże!
A żadna ludzka siła strwożyć nas nie może.

Jak wyżej. Wieśniacy ściskają się razem.

Szttaufacher. Teraz niech każdy wraca do swojej zagrody,

Pasterz niechaj spokojnie zimuje swe trzody,
I po cichu dla związku szuka przyjacieli.

A co jeszcze wycierpieć będziemy musieli,
Cierpmy, — niechaj tyrani dopelniają miary.
Jeden dzień spłaci wszystko — przyjdzie chwila kary.
Lecz niech się gniew przykuty z piersi nie wyśliźnie,
Żądę zemsty ogólnej poświęćmy potrzebie!
Ten marni wspólne dobro, uwłacza ojczyźnie,
Kto w powszechniej niedoli ratuje sam siebie.

Gdy na różne strony rozchodzą się najspokojniej, orkiestra odzywa się wspaniale, próżna scena zostaje otwartą na chwilę i pokazuje widok wschodzącego słońca za lodowatemi górami.

AKT TRZECI.

SCENA PIERWSZA.

Dziedziniec przed domem Tella. Tell z toporem. Jadwiga domową robotą zatrudniona. Walter i Wilhelm w głębi sceny bawią się małym łukiem.

Walter śpiewa.

Gdy dzień zaświta,
Strzelec zuchwały
Łuk, strzały chwytą
I biegnie w skały.
Jak z poza chmur
Orzeł krwi chciwy,

Tak skał i gór
Królem myśliwy:
Co żyje w lesie,
Za swe uznaje,
Gdzie strzał doniesie,
Jego to kraje. *Przybiega.*

Cięciwa pękła, napraw, ojczel!

Tell.

Nie naprawię,

Strzelec sam sobie radzi. *Chłopcy oddalają się.*

Jadwiga.

Chłopcy w tej zabawie

Smakują zbyt zawczasu.

Tell.

Wczas się doskonali,

Kto chce dobrze znać sztukę.

Jadwiga.

Oby jej nie znali!

Tell. Niech się uczą. Na wszystko powinien być gotów,

Kto dzielnie wpośród losu przeciwnego grotów

Pewnym krokiem chce przebyć śliską życia drogę.

Jadwiga. Nie będą żyć spokojnie!

Tell. Bo i ja nie mogę.

Czuję to, że nie jestem stworzon na pasterza.

Duch mój zawsze do celu niknącego zmierza,

I wtedy tylko życia cieszę się słodyczą,

Kiedy każdy dzień nową opędzam zdobyczą.

Jadwiga. A nie pomyślisz o tem, z jaką trwogą żona

Nieraz twego powrotu wygląda stęskniona?

Aż mróz po mnie przechodzi, kiedy czasem słyszę,

Co opowiadać zaczął twoi towarzysze.

Przy każdym pożegnaniu dręcę się i płaczę,

Myśląc, że cię już nigdy więcej nie zobaczę.

Widzę ciebie, jak błądzisz wpośród dzikich jarów,

Jak się chwiejesz na łódce u brzegu wiszarów,

Jak cię w przepaść wraz z sobą kozieł dziki strąca,

Lub lawina przywala z wichrem spadająca;

Widzę nieraz, jak zaspą uwiedzion zdradliwą,

Zapadasz w straszną głębię, pogrzebiony żywo.

Ach! w Alpach śmierć tysiączne kształty przyobleka

I zuchwałego strzelca prawie co krok czeka.

Oplakane rzemiosło! każdy kawał chleba

Niebezpieczeństwem życia kupować potrzeba.

Tell. Kto się zdrowymi zmysły mając na bacności,

Bogu ufa i własnej sile i zręczności,

Ten w każdym razie znajdzie sposób do obrony;

Niestraszne góry temu, kto w górach zrodzony.

Skończył robotę, składa narzędzie.

Powinny z rok wytrzymać drzwi u naszej chaty,

Topór w domu na cieśnię oszczędza zapłaty.

Bierze kapelusz.

Jadwiga. Dokąd chcesz?

Tell. Do Altorfu, do ojca naszego.

Jadwiga. Coś masz na myśli, wyznał, coś niebezpiecznego.

Tell. Skądże ci to, kobieto!

Jadwiga. Przeciwno rządowi

Coś knują — już na Rytli radzili związkowi,

I ty jesteś w tym związku.

Tell. Ja nie byłem z nimi,
Alem gotów na wszystko dla ojczystej ziemi.
Jadwiga. Oni ciebie postawią, gdzie najgorzej będzie,
Ty chcesz niebezpieczeństwa, ty go szukasz wszędzie.
Tell. Każdemu część wydziela według jego siły.
Jadwiga. Baumgartena wśród burzy, choć pioruny były,
Przewiozłeś przez jezioro; cud był w tej obronie.
Nie pomyśliłeś wtedy o dzieciach, o żonie?
Tell. Kochana żono! wyście w oczach moich stali,
Gdym ojca zbawił dzieciom.

Jadwiga. Płynąć w takiej fali
Nie znaczy ufność w Bogu, lecz płochość zuchwałą.

Tell. Kto się wiele namyśla, zwykle robi mało.

Jadwiga. Wspierasz drugich, a ciebie nie będą ratować.

Tell. Nie daj, Boże, bym nie miał bliźnich potrzebować.

Bierze łuk i strzały.

Jadwiga. Po co łuk bierzesz? zostaw.

Tell. O nie, pozwól na to,
Bez broni — jak bez ręki.

Chłopcy przychodzą.

Walter. Dokąd pójdziesz, tato?

Tell. Do dziadunia; chcesz ze mną?

Walter. Chcę.

Jadwiga. Posłuchaj żony.

Gesler teraz w Altorfie, nie chodź w tamte strony.

Tell. Dziś wyjeżdża.

Jadwiga. Niech jedzie, czekaj, bo dlaczego

Masz mu się sam nawijać? Znasz nienawiść jego.

Tell. Gniewy jego bynajmniej szkodzić mi nie mogą,

Nie boję się nikogo, idąc prostą drogą.

Jadwiga. A on właśnie niecierpi wszystkich prawych ludzi.

Tell. Nie ma pozoru dręczyć, to w nim zemstę budzi.

Jadwiga. Skąd to zaufanie?

Tell. Niedawno, gdy wyszedłem sam na polowanie,
W bezludnej i pępnej Szechenu dolinie,
Gdzie trudno się rozminąć na wązkiej drożynie,
Z jednej strony jak ściana były strome skały,
Z drugiej wody Szechenu okropnie szumiały.

Chłopcy jeden z lewej, drugi z prawej strony przysuwają się do ojca i ciekawie na niego patrzą.

Tam spotkałem starostę; my obadwaj sami,
Człowiek tylko z człowiekiem, a przepaść pod nami.
Tam widząc mnie przed sobą zbrojnego na drodze,
Mnie, którego niewinnie wprzód obraził srodze,
Zbladł, chwiał się, byłby zleciał z brzegu okropnego.
Zlitowałem się nad nim: przyszedłszy do niego,
To ja, panie starosto — powiedziałem skromnie,
I widząc, że nie może słowa wyrzec do mnie,
Tylko kiwając ręką oddalić się każe,
Poszedłem i spieszące przysłałem mu strażę.

Jadwiga. Drżał przed tobą? o biada! niedobrze to znaczy,
On ci słabości swojej nigdy nie przebaczy!

Tell. Unikam go i pewnie nie będę szukany.

Jadwiga. Poluj dziś, a tam nie chodź, mężu mój kochany!

Tell. Cóż ci takiego?

Jadwiga. Nie wiem... lękam się... bądź ze mną.

Tell. Pocóż niespokojnością dręczysz się daremną?

Jadwiga. Może daremna, ale zostań dziś.

Tell. Nie mogę,

Dalem słowo, że pójdę.

Jadwiga. Widzisz moją trwogę.

Przynajmniej zostaw chłopca.

Walter. Nie, — pójdę.

Jadwiga. Waltuniu!

Porzucisz matkę swoją?

Walter. Ja ci coś, mamuniu,

Przyniosę od dziadunia.

Odchodzi z ojcem.

Wilhelm. Ja zostanę.

Jadwiga ściska go. Tyś przecie ze mną, moje dziecko uko-
[chane!]

Staje we drzwiach i długo pogląda za odchodzącymi.

SCENA DRUGA.

Ściśnięta dzika okolica, ze skał sączą się strumyki.

Berta w myśliwskim stroju, potem zaraz Rudenz.

Berta. Idzie za mną... tu mogę odkryć myśli swoje.

Rudenz *wchodzi spiesźnie.* Pani! w tem dzikim miejscu świad-
[ków się nie boję.

Skały nas i parowy zamknęły dokola,
Serce moje milczeniu dłużej nie wydoła.

Berta. Czy nie idą myśliwi?

Rudenz. Tam się obrócili.

Dziś lub nigdy korzystać muszę z drogiej chwili.
Chcę wiedzieć, jakiekolwiek moje przeznaczenie,
Chociażby nawet wieczne z tobą rozłączenie.
O! nie uzbrajaj gniewem lubego wejrzenia!
Któż jestem ja? skąd moje zuchwałe życzenia?
Jeszcze zwycięski wawrzyn nie był na mem czole,
Ani się mogę mieścić w tych rycerzy kole,
Którzy cię uwielbiają, świetną błyszcząc chwałą.
Nic nie mam, tylko miłość, tylko duszę stałą.

Berta surowo. O miłości, wierności jak śmie mówić do mnie,
Kto święte obowiązki zdradza wiarołomnie?

Rudenz cofa się.

Niewolnik austriacki, zwolennik tyrana,
Obcym ciemieżcom kraju dusza zaprzędana?

Rudenz. Pani! twoim zarzutem stoję przerażony,
Ja się dla ciebie tylko chwycilem ich strony!

Berta. Jakto? dla mnie zbrodniczej chwyciłeś się sprawy?
Mniej obrzydły w mych oczach ciemieżyciel krwawy,
Sam Gesler, niż wyrodny syn szwajcarskiej ziemi,
Co na zgubę ojczyzny łącząc się z obcymi,
Staje się ich narzędziem

Rudenz. Co słyszysz? o Boże!

Berta. Cóż być miłszem od ziomków pocziwemu może?
Cóż godniejszym człowieka, gdzie piękniejsza sława,
Jak walczyć za wydarte narodowi prawa?
Widok ucisków ludu rozdziera mi duszę,

Boleję z nim — szanować i kochać go muszę:
Tak łagodny, choć silny. Codziennie coraz więcej
Uczę się go poznawać i kochać goręcej.
Ale ten jest przyczyną mego udręczenia,
Kto stróżem swobód ludu będąc z urodzenia,
Niepomny na powinność, na imię rycerza,
Własnemu się krajowi srogo przენiewierza,
I robiąc jedną ręką z obcymi tyrany,
Chce okuć ziomek swych w ohydne kajdany.
Ledwie się mogę wstrzymać w słusznej nienawiści.

Rudenz. Pani! My chcemy ludu prawdziwej korzyści,
Pragniemy spokoju i szczęśliwej doli
Pod berłem austriackiem.

Berta. Pragniecie niewoli!
Swobodę w jej ostatniem na ziemi siedlisku
Zgnieść chcecie. Naród lepiej zna się na swym zysku,
W nim zmysłów nieskażonych pozór nie omyli;
Wam to zasłone błędu na oczy rzucili.

Rudenz. Ach! ty mną gardzisz, ty mnie musisz nienawidzić!

Berta. O, gdybym tylko mogła! Lecz wzgardzonym widzieć
I wzgardy godnym przedmiot przyjaznej czułości!

Rudenz. O Berto! ty mnie w piekło wtrącasz bez litości,
A raj wskazujesz.

Berta. Nie, nie, jeszcze mam nadzieję:
Iskra szlachetnych uczuć jeszcze w tobie tleje,
Jeszcze zabłyśnie, mojem rozżarzona technieniem.
Cnotę wrodzoną tłumisz w sobie z natężeniem,
Lecz nie możesz pokonać, żyje w twojej pamięci,
Jesteś dobrym, szlachetnym, mimo własnej chęci.

Rudenz. Ty się moich występków nie zrażasz ciężarem?
Będę, czem twoja miłość zechce!

Berta. Bądź Szwajcarem!
Bądź tym, czem cię zrobiło twoje urodzenie,
Złącz się z narodem, świetne spełnij przeznaczenie,
Idź śmiało, dokąd wzywa powinność i sława,
Walcz o całość ojczyzny, walcz o święte prawa!

Rudenz. O, biada mi! twoje ręce nigdy nie posiędę,

Jeśli władzy cesarza opierać się będę.

Potężna krewnych wola włada losy twymi.

Berta. Wolność mi da ojczystej niepodległość ziemi.

Wszak tu, w kantonach leżą wszystkie moje włości.

Rudenz. Berto! ach, co za promień szczęścia i radości!

Berta. Nie pozyskasz mi nie wpływem austriackiej strony.

Oni na moje dobra ostrząć chciwe szpony,

Chcą je zamknąć w dziedzictwa wielkiego obwodzie.

Chciwość ziemi niesyta, która ma na celu

Was pochłonać, i mojej zagraża swobodzie,

We mnie ofiarę widzisz, drogi przyjacielu;

Może usług dworaka stanę się nagrodą —

Tam w gnieździe zdrad i fałszu, na cesarskim dworze.

W okowy nienawistnych ślubów mnie zawiodą.

Miłość, twoja mnie tylko miłość zbawić może!

Rudenz. Więc ze mną razem w mojej ojczyźniebyś żyła?

O Berto, niespokojność, co mnie w świat pędziła,

Marzenia o wielkości, o rycerskiej sławie,

Wszystko to była miłość w rozlicznej postawie.

Ty w tej cichej dolinie chcesz się zamknąć ze mną?

Ty nad blask świata miłość przekładasz wzajemną?

O! więc całej dążności mojej cel dopięty!

Niechaj świata gwałtownie wzburzone odmetry

Tłuką o niewzruszone Alp naszych zapory,

Mój umysł nic nie pragnie i przesłać nie zdoła

Żadnych już chęci w życia dalekie przestwory.

Niech skały nieprzebyte zamkną nas dokoła,

Ta spokojna dolina, w której my zostajem,

Niebu tylko otwarta, będzie dla nas rajem!

Berta. Ach! takim duszy mojej najśłodsze marzenia

Przeczuwały cię zawsze, lecz zwiódłeś życzenia.

Rudenz. Precz, marny blasku! Szczęście w ojczystej zagrodzie,

Tu, gdzie tysiąc pamiątek radość mi wspomina,

Gdzie mi wiek w młodości zakwitnął swobodzie,

Gdzie dla mnie żyje każde źródło i krzewina,

Tu na ojczystej ziemi będziem z sobą żyli.

Ach! kochałem ją zawsze! — poznaję w tej chwili,

Czego mojemu sercu brakowało wszędzie.

Berta. A gdzież może być szczęście, jeśli nie tu będzie?
Tu niewinność, tu święte dawnych cnót prawidła,
Tu się jeszcze nie wkradła nieszczerzość obrzydła,
Tu nam zawiść nie zmąci szczęśliwości zdroju,
I życie nasze w błogim uplynie pokoju.
Tu widzę ciebie w prawej rycerza postaci,
Jak zyskując szacunku hold niewymuszony,
Najpierwszy w gronie wolnych i równych współbraci
Piękniejszym świecisz blaskiem nad jasność korony.

Rudenz. Tu cię widzę, poci twojej zalety i chluby!
Dom czynisz rajem, wszystkie życia mego chwile
Przez anielską łagodność, przez twą czynność lubą
Jak wiosna w świeże kwiatki przyozdabiasz mile,
Wszystko barwisz dokoła i ożywasz sobą.

Berta. Ach, przwójcielu! z jaką patrzałam żalobą,
Gdyś odpychał to szczęście. Cóżbym ja czyniła,
Gdybym z dumnym rycerzem wejść zmuszoną była,
Z ciemieżycielem kraju, na zamek ponury.
Tu niema żadnych zamków, tu mnie żadne mury
Nie dzielą od tych, których uszczęśliwić mogę.

Rudenz. Lecz jak się wyrwę? jaką przedsięwezmę drogę?
Wplątałem się...

Berta. Skrusz węzły, — cokolwiek się stanie,
Złącz się z narodem, spełnij twoje powołanie.
Żegnam cię; idź, już strzelcy niedaleko stoją!
Walcz o kraj, walczyć będziesz i o miłość swoją.

Słychać z daleka trąbki myśliwskie.

Wszyscy mamy nad sobą jednego tyrana,
I wszystkich razem zbawi wolność pożądana. *Odchodzą.*

SCENA TRZECIA.

Łąka w Altorfie, na przodzie sceny drzewa. W głębi kapelusz na żerdzi. Widok zamyka góra, nad którą panuje szczył śniegiem okryty.

Frishard i Leithold na straży.

Frishard. Daremnie czatujemy; żadna żywa dusza
Nie przychodzi z powinną czią dla kapelusza.

Dawniej tu jak na targu, a dziś, od tej chwili,
Skoro tylko tę lalkę na żerdzi utkwili,
Wszystko jakby wymarło.

Leithold. Patrz, żebracy sami

Na przekór podartemi trzęsą nam czapkami.
Uczciwi pół miasteczka obchodzą dokola,
Żeby przed kapeluszem nie uniżyć czoła.

Frishard. Już myślałem, że dobrą zdobycz będziem mieli,
Gdy w południe z ratusza tedy iść musieli,
Bo kapelusz na myśli nie był u żadnego.
Aż tu ksiądz z sakramentem wraca od chorego,
Staje przed żerdzią — brzęknął dzwonek organisty,
Wszyscy klękli, ja z nimi, i hold uroczysty
Oddali Panu Dogu, nie kapeluszowi.

Leithold. Słuchaj, kolego, każdy, kto się zastanowi,
Przyzna, że my stoimy prawie u pręgierza.
Czyliż na uczciwego przystało żołnierza
Przed próżnym kapeluszem odprawować strażę?
Každy zuch nami wzgardzi; — choć starosta każe
Temu kapeluszowi nieść uszanowanie,
Mnie się to jednak widzi dziwaczne żądanie.

Frishard. Czemu kapeluszowi próżnemu przyganasz,
A sam się próżnej głowie nieraz w życiu klaniasz?

Hildegarda, Mechtylda i Elżbieta *wychodzą z dziećmi i stają koło żerdzi.*

Leithold. Ależbo z ciebie hultaj usłużny do złego,
Tybyś rad o nieszczęście przyprawił każdego.
Niech koło kapelusza kto chce idzie sobie,
Będę patrzył przez szpary i nie mu nie zrobię.

Mechtylda. Starosta wisi! Czołem, kto grzbiet chce mieć prosty!

Elżbieta. Oby to był kapelusz na miejscu starosty,
Krajby na tem nie stracił, mamy go do syta!

Frishard *odpędza je.* Precz stąd, przekłete baby! kto się o was
[p]ta?

Meżów przysłijcie, niechaj odważą się na to,
Niechaj przełamia rozkaz!

Kobiety odchodzą. Tell z łukiem wchodzi, prowadząc syna za rękę. Przechodzą koło kapelusza, nie zważając na niego, naprzód sceny.

Walter Tell.

Czy to prawda, tato,

Że tam na wierzchu góry, poniżej urwiska

Nie można drzewa rąbać, bo krew z niego pryska?

Tell. Któż to powiedział?

Walter,

Stary pasterz tak dowodzi,

Ze to las zakazany, i z grobu po zgonie

Reka wyrośnie temu, kto ten las uszkodzi.

Tell. Las zakazany... prawda; widzisz w tamtej stronie

Te białe gór wierzchołki, w obłokach ginące?

Walter. To lodowce, po nocach tak okropnie grzmiące,

Z nich lawiny spadają.

Tell.

Te śniegów nawały

Byłyby miasto Altorf dawno zasypały,

Gdyby je las obrończa nie odpierał siła.

Walter, namysliwszy się. Czy jest, ojczyzna, kraj jakiś, gdzieby go
[nie było?

Tell. Idac na dół z gór naszych wzdłuż biegu strumieni,

Przechodzi się do wielkiej i równej przestrzeni;

Tam nie szumia w parowach wód spienione ścieki,

Tam ginie wzrok człowieka, niczem nie wstrzymany,

Tam cicho i spokojnie czyste płyną rzeki,

Tam z wiatrami igrają zbożorodne łany,

I cały kraj się jednym ogrodem wydaje.

Walter. Ojczy, zejdzmy czempredzej w te szcześliwe kraje.

Pocóż tu żyć w kłopotach i w ustawnym trudzie?

Tell. Prawda, że to jest ziemia jak raj, lecz tam ludzie

Nie dla siebie darami ciesza się Bożemi.

Walter. Alboż jak my nie maja swojej własnej ziemi?

Tell. O nie, tam król i biskup właścicielem roli.

Walter. Przynajmniej w lasach mogą polować dowoli?

Tell. Wszelka zwierzyna pańska i w polu i w borze.

Walter. To ryby łowia w rzekach.

Tell.

1 rzeka i morze,

I sól nawet królewska.

Walter.

Cóż to za król, tato,

Że wszyscy są dla niego?

Tell. Król ich żywi za to,
Król ich broni.

Walter. Nie mogąż sami? a to czemu?

Tell. Bo tam sąsiad nie ufa sąsiadowi swemu.

Walter. Ojczy, nie chcę i widzieć tej pięknej krainy,
Wolę ja nasze skały i nasze lawiny.

Tell. Lepsza bliskość lodowców, niż człowieka złego.
Chcę odejść.

Walter. O! kapelusz na żerdzi!

Tell. Co tobie do tego!
Chodź!

*Gdy chce odejść, zastępuje mu Frishard z nadstawionym
oszczepem drogę.*

Frishard. W imieniu cesarza, stój!

Tell *chcący za oszczep.* Czegóż wy chcecie?

Za co mnie na publicznej drodze wstrzymujecie?

Frishard. Złamałeś rozkaz, musisz sprawić się rządowi,
Pójdź z nami!

Leithold. Nie oddałeś czci kapeluszowi.

Tell. Przyjacielu, daj pokój.

Frishard. Prawo nie dla kształtu.
Do więzienia!

Walter. Mój ojciec do więzienia, gwałtu! *Wołając.*

Gwałtu! ludzie, ratujcie! Przebóg! cóż go czeka?

Reselman *pleban* i **Peterman** *kościelny* *przybiegają z trzema
innymi.*

Kościelny. Cóż to jest?

Reselman. Czego chcecie od tego człowieka?

Frishard. To zdrajca!

Tell *porywa go silnie.* Kto? — ja?

Reselman. Jesteś, przyjacielu, w błędzie.

Tell człowiek sprawiedliwy, człowiek znany wszędzie!

Walter *dostrzega Waltera Firsta i biegnie ku niemu.*

Dziaduniu, ratuj ojca!

Frishard. Dalej do więzienia!

First, *spiesząc.* Stójcie! ja za rękojmią żądam uwolnienia.

Tellu, dla Boga! cóż to?

Melchtal i Szttaufacher nadchodzą.

Frishard. On władzą cesarza

I rozkazem starosty gardzić się odważa.

Sztaufacher. Tellby to czynił?

Melchtal. Kłamiesz, lotrze wyuzdany!

Leithold. Nie uczył kapelusza.

First. I za to w kajdany?

Stój, przyjacielu! puść go, przyjmij zaręczenie.

Frishard. Ręcz za siebie; my pełnim rządowe zlecenie.

Ruszaj!

Melchtal *do wieśniaków*. To gwałt krzyczący! Myżbyśmy ścier-
[pieli,

Ażeby w oczach naszych uwięzić go mieli?

Kościelny. Nas więcej! Przyjaciele, pójdźmy wszyscy razem!

Nie dajmy!

Frishard. Kto śmie gardzić starosty rozkazem?

Trzej inni wieśniacy, *przybiegając*. My za wami! bij! zabij! Co
[to! wszczęli zwadę.

Hildegarda, Mechtylda i Elżbieta powracają.

Tell. Uspokójcie się, bracia, dam ja sobie radę.

Gdybym tu przeciw sile myślał użyć siły,

Czyliżby te ich dzidy mnie strasznemi były?

Melchtal *do Frisharda*. Spróbuj wziąć go z pomiędzy nas!

Sztaufacher i First. Upamiętanie!

Zwolna!

Frishard *wrzeszczy*. Bunt! bunt! *Słychać trąbki.*

Kobiety. Starosta jedzie!

Frishard *jeszcze głośniej*. Bunt! powstanie!

Sztaufacher. Milcz! bodajeś oniemiał!

Reselman i Melchtal. Milcz! poco ta wrzawa?

Frishard *jeszcze głośniej woła*. Gwałtu! ratujcie! gwałtu! pomoc
[sługom prawa!

First. Biada nam! co to będzie? starosta już blisko.

Gesler na koniu, z sokołem na pięści; Rudolf Harras, Berta, Rudenz i wielka świta zbrojnych oszczepami, którzy całą scenę otaczają.

Rudolf Harras. Z drogi panu staroście!

Gesler. Co za zbiegowisko?

Rozpędzić! Kto tu wołał o pomoc? dlaczego?

Powszechnie milczenie.

Chcę wiedzieć!

Do Frisharda.

Wystąp. Ktoś ty? czego chcesz od niego?

Frishard. Panie, to ja, twój żołnierz, tu na straży stałem

I na uczynku tego człowieka schwytalem.

Nie uczcił kapelusza według zalecenia.

Chciałem, pełniąc twój rozkaz, wziąć go do więzienia,

Ale gmin go wydziera i buntem zagraża.

Gesler *po krótkim milczeniu.* Tellu, tak więc szanujesz two-
[jego cesarza

I mnie, któremu swoją on powierzył władzę?

Tak śmiesz uwłaczać mojej woli i powadze,

Ześ nie złożył powinnej czci kapeluszuwi,

Która jest miarą waszych chęci ku rządowi?

Poznałem krnąbrność twoją!

Tell. Darujcie mi, panie,

Nie było to przez żadne nieuszanowanie,

Lecz nieuwaga; więcej tego już nie zrobię.

Gesler *po krótkim namyśleniu się.*

Ty jesteś sławny strzelec; słyszałem o tobie,

Ze ci trudno równego.

Walter. Można ręczyć za to,
Panie, jabłko ci z drzewa zestrzeli mój tato,
Choćby i o sto kroków.

Gesler. Czy to dziecko twoje?

Tell. Moje, panie!

Gesler. A więcej masz dzieci?

Tell. Mam dwoje,
Dwóch synów.

Gesler. Któryż ci jest milszy między nimi?

Tell. Panie, dla mnie obydwaj równie są miłymi.

Gesler. Dobrze więc. Gdy tak jesteś pewnym swojej dłoni,
Że o sto kroków trafisz jabłko na jabłoni,
Musisz mi to pokazać. Wszak masz luk gotowy?
Weź więc i zestrzel jabłko z tego chłopca głowy.

Lecz mierzaj jak należy, powiadam ci, Tellu,
Bo mi życiem przwplacisz, jeśli chybisz celu.

Wszyscy okazują przerażenie.

Tell. Cóż to za myśl okropna! wszechmogący Boże!
Z głowy własnego dziecka — nie, to być nie może.
Panie, to były żartem wyrzeczone słowa,
Wyście ani myśleli, niech Pan Bóg zachowa!
Nie możecie od ojca żądać nic takiego.

Gesler. Musisz jabłko zestrzelić z głowy chłopca tego,
Tak chcę i nie odstąpię swego przedsięwzięcia.

Tell. Ja mam strzelać do swego własnego dziecięcia?
Śmierć raczej!

Gesler. Strzel, lub zginiesz, i syn z tobą razem!

Tell. W dziecko własne zabójczem mierzyć mam żelazem!
Panie, wyście bezdzietni, wy czuć nie możecie,
Co to serce ojcowskie.

Gesler. Tellu, jak to przecie
Przyszedłeś do rozwagi! Mówiono o tobie,
Że się chcesz wyszczególnić w działania sposobie,
Ześ zagorzałec, wszystko robiący z zapalem,
Dla ciebie więc umyślnie sztuczkę wyszukałem.
Możeby to innemu trudnem się zdawało,
Lecz ty zamrużysz oczy i wypełnisz śmiało.

Berta. Panie, biednych nie dręczcie żartami swojemi,
Drżą ze strachu, tak mało obeznani z nimi.

Gesler. Ja nie myślę żartować — oto jabłko! Strażel!
Zrywa wiszące nad sobą jabłko na jabłoni.
Zrobić miejsce, wymierzyć, tak jak zwyczaj każe.
Choć nawet na sto kroków nie uchybiasz celu,
Ja równych osiemdziesiąt dam ci, przyjacielu.
Pokaż, co umiesz, ale mierzaj należycie!

Harras. Przebóg! to nie żart! Chłopcze, klękaj, proś o życie!
First *na stronie do Melchtala, który zaledwie wstrzymać się może.*
Wstrzymajcie się, zaklinam!

Berta *do starosty.* Panie, dosyć tego!
Nie czynicie żartów z trwogi ojca nieszczęsnego.
Choćby gardłem karano takie przewinienia,
On już dziesięciu śmierci wytrzymał cierpienia.

Poznał was niechaj idzie, dosyć tej nauki,
Będzie on ją pamiętał, on i jego wnuki.

Gesler. Rozpedzić gmin na stronę! Nie stój, do cięciwy!

Mógłbym cię stracić, wyrok byłby sprawiedliwy,

Widzisz, a jednak życie twoje sam łaskawie

Powierzam twojej własnej zrzeczności i wprawie.

Nie powinien się skarżyć, kto swym losem włada.

Popisz się, cel masz godny, nagrodę nielada.

W strzelaniu do tablicy nie uchybiać celu

To jest niewielka sztuka, potrafi ją wielu.

Ten mistrz. kto będąc pewnym siebie w każdej chwili,

Wie, że mu ręka nie drgnie, oko się nie zmyli.

First *klęka przed nim.* Panie starosto, wszyscy waszą władzę
[znamy,

Nie prawa, ale waszej litości wzywamy.

Weźcie pół mego mienia, weźcie je w całości,

A nie chcecie od ojca takiej okropności!

Walter. Dziaduniu, nie klękajcie, to fałszywy człowiek.

Powiedzcie, gdzie mam stanąć — nie zamrużę powiek.

Tato ptaki w lot strzela — ja się nic nie boję,

Gdzieżby tato miał zabić własne dziecko swoje!

Sztaufacher. Nad niewinnością jego zlitujcie się sami,
Panie!

Reselman. O, pamiętajcie, że jest Bóg nad nami!

Przyjdzie mu zdać rachunek.

Gesler, wskazując na chłopca. Wziąć go pod topolę,
Przywiązać!

Walter. Naco wiązać? nie chcę, nie pozwolę,
Będę stał jak baranek, oddech w sobie wstrzymam,
Ale jak mnie zwiążecie, oh, to nie wytrzymam.
Będę się szarpał.

Harras. Oczy daj zawiazać sobie.

Walter. Naco mi wiązać oczy? — nie, tego nie zrobię.

Myślicie, że ojcowską przestraszę się strzałą?

Będę stał, ani mrugnę. Dalej, ojcze, śmiało!

On nie wierzy, żeś strzelec, pokaż okrutnemu.

Chciałby nas zgubić. Strzelaj i traf, na złość jemu.

Idzie pod topolę; kładą mu jabłko na głowie.

Melchtal do wieśniaków. Więc w waszych oczach taka spełni
[się szkarada!

Na cóżeśmy przysięgli?

Sztaufacher. Opór nic nie nada;

My bez oreża, zbrojna otacza nas siła.

Widzisz ten las oszczepów?

Melchtal. Zwłoka to sprawiła,

Nieszczęsna zwłoka! Kto ją radził, odpuść Boże!

Gesler do Tella. Bron się darmo nie nosi; nie tu nie pomoże.

Dalej! Nie chodźcie zbrojno, bo to rzecz jest zdrożna,

Nieraz się własną strzałą okaleczyć można.

Rządzacemu, nie chłopu bron nosić przystoi,

Rząd obraża, kto sobie takie prawo swoi.

Ale kiedy lubicie łuki i cięciwy,

Ja wam cel wskażę.

Tell napina łuk i zakłada strzałę. Na bok!

Kobiety. Boże sprawiedliwy!

Sztaufacher. Tellu! wyżbyście chcieli, wy, tak osłabieni?

Drżą wam ręce, kolana.

Tell spuszcza łuk. W oczach mi się mieni.

Do starosty.

Każcie mnie zamordować, zawołajcie strażę...

Oto piersi! *Odkrywa pierś.*

Gesler. Ja strzelać, nie umierać każe.

Tellu, wszak ciebie żadne nie straszą przeszkody;

Umiesz i wiosłem robić wśród burzliwej wody,

Na nic się nie oglądasz w bliźniego potrzebie;

Teraz, wybawco drugich, teraz ratuj siebie!

Tell w okropnej wewnętrznej walce, ręce mu drgają, obłąkanym wzrokiem to na starostę, to na niebo pogląda; nagle porywa kołczan, wysuwa drugą strzałę i chowa ją w zanadrzu.

Starosta uważa te wszystkie poruszenia.

Walter pod topolą. Tatuniu, strzelaj — ja się nie boję.

Tell. Więc muszę.

Porywa się i mierzy.

Rudenz, który przez cały czas w najwyższym poruszeniu zaledwie się wstrzymywał, występuje naprzód.

Panie, on dosyć wielką wytrzymał katuszę.

Sami pewnie, o! pewnie więcej nie żądacie,
Chcieliście ich doświadczyć, cel dopięty macie.
Zbytńia surowość zwykle omyloną bywa,
Zbyt wyteżona musi zerwać się cięciwa

Gesler. Milczcie, kiedy o wasze nie pytają zdanie.

Rudenz. Chcę mówić. Ja dla króla znam uszanowanie,
Lecz ta zgroza powszechną nienawiść obudzi;
Król wam nie kazał dręczyć tych niewinnych ludzi,
On tego nie chce, na to nie macie zlecenia.

Gesler. Skąd ta zuchwałość?

Rudenz. Dosyć, dosyć już milczenia.

Długo milcząc, widziałem ucisków tysiące,
Mrużyłem oczy — serce z żalu pękające
Sciskałem w piersiach, choć się oburzało we mnie.
Lecz gdybym dłużej milczał, zdradzałbym niekazemnie
I cesarza i ziomków.

Berta *wbiega pomiędzy niego i starostę.* Wszechmogący Boże!
Drażnisz rozdrażnionego! i cóż to pomoże?

Rudenz. Opuściłem współziomków, złączyłem się z wami
Pogardziłem świętymi natury związkami,
Bom myślał, że cesarska władza utwierdzona
Kraj uszczęśliwi, — z oczu spada mi zasłona,
Nad okropną przepaścią nieszczęśliwy stoję.
Wyście zwiedli mój umysł, szczere serce moje,
Dobłą wiarą zdradzałem, i władzy tyrana...

Gesler. Zuchwalcze! tak śmiesz mówić do swojego pana!

Rudenz. Nie wy, cesarz jest panem, — równego wam rodu,
Mogę z wami w rycerstwie stanąć do zawodu,
I gdybyście nie byli w imieniu cesarza,
Którego cześć, choć taka srogość go znieważa,
Musielibyście podnieść rękawicę moją.

Na lud pokazując.

Dobrze, wołajcie straży. — Ci bezbronni stoją,
Lecz ja pewnie przed wami nie ustąpię kroku,
Ja nie jestem bezbronny, ja miecz mam u boku,
A kto się zbliży...

Sztaufacher woła. Jabłko spadło!

Gdy Berta stanęła między Rudenzem i starostą, i wszyscy na nich oczy zwrócili, Tell wystrzelił.

Reselman.

Chłopiec żywy!

Wiele głosów. Trafil!

Walter First *zatacza się, upadłby, lecz go Berta zatrzymuje.*
Gesler *zdziwiony.* Strzelił? Szalencie!

Berta *do Firsta.*

Boże dobrotliwy!

Ojcze, przyjdźcie do siebie, wasze dziecko żyje.

Walter *przybiega z jabłkiem.* O! ja wiedziałem, że mnie tato
[nie zabije.

Tatuniu, oto jabłko!

Tell *stał pochylony, jak gdyby chciał strzałę ścigać. Łuk wypada mu z ręki. Widząc chłopca przybiegającego, biegnie ku niemu z otwartymi rękami, podnosi go do góry serdecznie i gwałtownie do serca przyciska i w tej podstawie zemdłony pada. Wszyscy wzruszeni.*

Berta.

To cud Boskiej ręki.

First *do ojca i syna.* Dzieci! kochane dzieci moje!

Sztaufacher.

Bogu dzięki!

Leithold. To był strzał wiekopomny.

Harras.

Póki świat stać będzie,

Póty o strzelcu Tellu mówić będą wszędzie.

Staroście jabłko podaje.

Gesler. Dalibóg! przez sam środek, przyznać mu wypada!

Po mistrzowski!

Reselman.

Strzał dobry, ale temu biada,

Kto Boga tak doświadczać rozkazuje komu.

Sztaufacher *do Tella.* Uściliś się mężnie — możesz iść do domu,
Ocuć się.

Reselman.

Pójdźcie — matka niech syna zobaczy.

Chce go odprowadzić.

Gesler. Tellu, słuchaj!

Tell *wraca.*

Co, panie?

Gesler.

Powiedz, co to znaczy

Ta druga strzała? o! ja wiedziałem — mów szczerze.

Tell *zmieszany.* To jest zwyczaj strzelecki.

Gesler.

Ja temu nie wierzę,

To coś innego; powiedz otwarcie i śmiało,

Ja ci życie zaręczam — Cokolwiek być miało,
Powiedz!

Tell. Gdyście mi życie zaręczyli, panie,
Otwarcie wam odpowiem na wasze pytanie.

Wyjmuje strzałę z zanadrza i na starostę okropnie poglądając, mówi.

Gdybym był zamordował drogie swoje dziecko,
Tą drugą strzałą na was godziłbym, — a wiecie,
Wasbym nie chybił!

Gesler. Dobrze, bezpieczna twa głowa,
Nie chcę cofać swojego rycerskiego słowa.
Ale gdy myśli twoje zbrodnicze poznałem,
Abyś mi nie mógł kiedy zaszkodzić wystrzałem,
Dla bezpieczeństwa wziąć cię i tak schować każę,
Że słońca nie zobaczysz nigdy. — Dalej, strażę!
Związać go! *Tella wiąże.*

Sztaufacher. Jakto? panie, takiego człowieka,
Nad którym czuwa niebios widoczna opieka!

Gesler. Zobaczymy, czy zdoła zbawić go dwa razy.
Na okręt z nim, natychmiast spełnić me rozkazy,
Tuż jadę. — Do Kisnachtu sam go zaprowadzę.

Reselman. Waszą nawet cesarską przekraczacie władzę,
Przywilej swobód naszych.

Gesler. Gdzie są te swobody?
Potwierdziłże je cesarz? o nie! tej nagrody
Tylko się posłuszeństwem dosługiwać można.
Zawszeby spiski knuła ta zgraja bezbożna,
Wszyscyście buntownicy. Znam ja was dokładnie,
Wskróż was widzę. Dziś kara na jednego padnie,
Ale wszyscyście winni, — komu życie lube,
Niechaj milczy i słucha.

Odjeżdża. Berta, Rudenz, Harras i strażę za nim. Frishard i Leit-
hold zostają.

First w gwałtownej boleści. On mi przysiągł zgubę!
Mnie i domowi memu. — Dolo oplakana!

Sztaufacher do Tella. Wszystko na nic, już więzy i nas obar-
[czyły.

Wieśniacy otaczają Tella Z wami ginie ostatnia pociecha kra-
[jowi!

Leithold zbliża się. Tellu! żal mi, lecz muszę.

Tell. Bracia, bądźcie zdrowi!

Walter w gwałtownym żalu, przytulając się do niego.

Ojcze mój!

Tell podnosi ręce ku niebu. Tam twój ojciec.

Sztaufacher. Twjej żonie, o Boże!

Cóż powiedzieć?

Tell chłopca serdecznie do serca przyciska. Syn żyje — mnie
[Bóg dopomoże.

Porywa się nagle i odchodzi za zbrojnymi.

AKT CZWARTY.

SCENA PIERWSZA.

*Teatr wystawia wschodni brzeg jeziora Czterech Kantonów —
na zachodzie skały w różnych kształtach zamykają widok —
jezioro się burzy — straszny szum, który się coraz powiększa —
błyskawice i czasem pioruny.*

Kunc z Gersau, Rybak i Syn jego.

Kunc. Na własnem oczy widział; tak, wiercie mi śmiało,
Jak wam opowiedziałem, tak się wszystko stało.

Rybak. Więc już i Tell się dostał w tych oprawców szpony?
Najlepszy obywatel, mąż niezwyciężony
Przy pierwszej wybicia się wydarzonej porze.

Kunc. Starosta wziął go z sobą — już są na jeziorze.
Bo właśnie wtenczas, kiedym wyjeżdżał z Flueli,
Oni okręt od brzegu już odbijać mieli;
Lecz ta burza pewnie im zatamuje drogę,
Ja także przez nią dalej dziś płynąć nie mogę.

Rybak. Tell w kajdanach! Starosta ma go w swojej mocy!
Wiercie mi! on w tak ciemnej zagrzebł go nocy,
Że dnia światła nie ujrzy nigdy; — on się lęka,

By ta wolnego męża rozdrażniona ręka
Nie mściła się za jego niegodziwe sprawy.

Kunc. I nasz stary landaman, ten pan tak łaskawy,
Pocziwy Atinghausen, mówią, że już kona.

Rybak. Więc ostatnia nadziei kotwica skruszona!
On jeden był z całego naszych Alp obwodu,
Co śmiało głos podnosił za prawem narodu!

Kunc. Burza, jak widzę, coraz wzrasta — bądźcie zdrowi.
Płynąć dalej byłoby przeciw rozumowi,
Wolę tymczasem do wsi pójść, odpocząć sobie. *Odchodzi.*

Rybak i Syn.

Rybak. Tell jęczy w więzach! stary Atinghausen w grobie!
Tyranio! wzniesze teraz twoje czoło śmiałe!
Zrzeknij się wstydu! usta prawdy oniemiały!
Widzące oko ciemne, i spętana ręka,
Co była zdolna zrzucić jarzmo, co nas nęka!

Syn. Ojczy, chodźmy do izby, zejdźmy już z podwórza.
I grad pada, i coraz powiększa się burza.

Rybak. O wyjście, wichry! bijcie, gromy, błyskawice!
Pękajcie, chmury! lejcie, straszne nawałnice!
Niech kraj ten cały wleczne zatopią powodzie,
Zniszczą przyszłe potomstwa jeszcze w ich zarodzie!
Dzikie żywioły, bądźcie tej ziemi panami!
Zbiegajcie się, niedźwiedzie i wilki, stadami,
Zamieszkajcie na nowo dawne wasze włości!
To wasz kraj! bo któżby tu chciał żyć bez wolności?

Syn. Słyszycie, jak pod wodą wir straszliwie wyje?
Tak wielkiej fali jeszcze nie widział, jak żyje.

Rybak Mierzyć w własnego dziecka głowę ukochaną
Jeszcze nigdy żadnemu ojcu nie kazano!...
I niemaż się natura burzyć w gniewu szale?
Po tylu okropnościach nie zdziwię się wcale,
Choć ujrzę, że olbrzymie, niebotyczne skały
Grzbiety swoje w bałwanach jeziora zmaczały;
Że niepożytych lodów odwieczne kolosy,
Co od stworzenia świata nie widziały rosy,
Stajały i ze szczytów w dół wodą spadły;

Że góry splasły, stare jary się zapadły,
Że drugi potop świata wylał się na ziemię
I zatopił na nowo całe stworzeń plemię!

Słychać dzwony.

Syn. Słyszysz, ojczel! na górze uderzono w dzwony.
Pewnie w niebezpieczeństwie okręt postrzeżony,
Dzwonią, aby się modlić do Pana nad Pany!

Wdziera się na wzgórek.

Rybak. Biada mu, jeśli wzdęte niosą go bałwany!
Ni ster, ni sternik na nic mu się nie przydadzą,
Gdy burza bezden swoją opanuje władzą!
Wiatr i fala z człowiekiem igra podług woli,
Nie zlituje się jego nieszcześliwej doli.
Znikąd już dlań pomocy — zimno, bez litości
Patrzą nań stromej skały obnażone kości —
Któż je do wybawienia biedaka pobudzi?

Syn. Okręt z Flueli!

Rybak. Boże! ratuj biednych ludzi!
Jak w ciasnej klatce dziki i drapieżny potwór
Daremnie szuka, gdzieby znalazł jaki otwór,
Rzuca się, ryczy, wstrząsa żelaznymi pręty, —
Tak w tej bezdennej głębi wściekły wir zamknięty
Wyje wewnątrz, bałwany na bałwany wspina,
Lecz napróżno — wychodu nie da mu cieśnina,
Otoczywszy go wkoło skał olbrzymich wałem!

Syn. Pański okręt! po dachu czerwonym poznałem,
I po chorągwi!..

Rybak. Słuszne sądy Najwyższego!
Starosta na nim płynie! a z nim zbrodnie jego!
Ręka mściciela grzeszyć niedługo mu daje.
Teraz on, teraz Pana nad sobą poznaje;
Fale morskie uśmierzyć głos jego nie zdoła,
Skały przed kapeluszem nie nachylą czoła,
Nie wstrzymają w sędziego dłoni słusznej chlosty.
Nie módl się, nie módl, chłopcze!...

Syn. Ja nie o starosty,
Ja o Tella ratunek proszę Pana Boga!

Rybak. Ślepe żywiołów rządy! czyliż kara sroga

Na to, by w bezbożnego uderzyć grzesznika,
Musi trafić w niewinny okręt i w sternika?!

Syn. Już minęli szczęśliwie Bugisgradu ściany,
Lecz w Tajfelminster nagle odbite bałwany
Wstecz ich na Aksenbergu cisnęły krawędzie...
Już ich nie widzę..

Rybak. Trudna tam przeprawa będzie!
Miejsce to żaden okręt cały nie przepłynie —
I ten jeśli roztropnie z dala go nie minie,
Pewnie się w najdrobniejsze sztuki podruzgoce
Na tej ostrej nad wodą sterczącej opoce, —
Sternik ich dobry, ale czcze usiłowanie —
Prócz Tella, wyratować ich nikt nie jest w stanie!
A ten, jak na nieszczęście, już w kajdanach jęczy.

Wilhelm Tell *z łukiem w rękę przychodzi prędkim krokiem,
ogląda się i z gwałtownem wzruszeniem rzuca się na kolana,
chwytą ziemię rękami i wznosi ręce do góry.*

Syn. Patrzcie, mój ojcze! patrzcie! kto tam taki kłęczy?

Rybak. Ziemię całuje, ściska drżącymi ramiony
W zachwyceniu, jak gdyby zmysłów pozbawiony.

Syn. Co widzę! Ojcze! chodźcie i patrzcie!

Rybak. O! Boże!

To Tell! skądże idziecie? mówcie! czy być może?

Syn. Więc o nieszczęściu waszem skłamano przed nami?

Rybak. Że was wzięto do Kismacht, okryto więzami...

Tell. Jestem wolny!

Obaj *razem.* Wolny?

Syn. Skąd idziecie?

Tell. Z okrętu.

Rybak. Co?

Syn. A gdzież jest starosta?

Tell. Jeszcze śród odmetu.

Rybak. Czy podobna? jakież to cud nadspodziewany

Wyrwał was burzy, wasze rozerwał kajdany?

Tell. Bóg! — słuchajcie mnie..

Oba *razem.* Mówcie...

Tell. Moją krzywdę całą

Wiecie?...

Rybak. Wiemy, lecz mówcie, co się dalej stało.

Tell. Kazawszy mi powiązać i ręce i nogi,

Chciał z sobą do Kismachtu zawieźć Gesler srogi.

Rybak. Potem wszyscy na okręt wsiedliście w Flueli...

Mówcie dalej, bo tośmy już wszystko słyszeli.

Tell. Tak, kiedym na okręcie leżał skrępowany,

Nie uwierzycie, jak był stan mój oplakany.

Bez broni, i nadziei całkiem pozbawiony,

Nie myślałem już nigdy ujrzeć dzieci, żony,

Ni tak ulubionego dla mnie światła słońca;

Z smutkiem patrzałem na wód pustynie bez końca.

Rybak. Nieszczęśliwy!

Tell. Starosta, ja, powiernik jego,

Rudolf Harras, i strażę, co go wiernie strzegą,

Płynęliśmy, — mój sajdak, łuk i moje strzały,

Oddalone ode mnie, przy sterze leżały.

Długośmy nie doznali żadnej przeciwności,

Kiedy nadspodziewanie, dzięki Opatrzności!

W rogu przy małym Aksen z Gotardu podgórza

Razem z taką wściekłością zerwała się burza,

Że majtkowie przelekli głowy potracili,

W beczynności ostatniej oczekując chwili. —

Wtenczas, w tym pełnym trwogi, niebezpiecznym stanie

Słyszałem, jak rzekł giermek do starosty: »Panie!

Wszak widzisz, że nasz okręt, ty sam i my wszyscy

Bez ratunku jesteśmy — zatonięcia blizcy;

Majtkowie, nadzwyczajną jakąś zdjeci trwogą,

Żadnym sposobem rady dać sobie nie mogą...

Tell tylko, ten mąż dzielny, jeden między nami

Zręcznością przechodzący wszystkich i siłami,

Z niechybnej toni okręt wyrwać byłby zdolnym«.

A starosta rzekł do mnie: »Tellu! będziesz wolnym,

Jeśli nam dopomożesz w tej nagłej potrzebie,

Ufaszże siłom? można spuścić się na ciebie?« —

»Ufam swym siłom, rzekłem, przy Bożej pomocy

Do poskromienia fal tych mam jeszcze dość mocy«.

Wnet zdjęto ze mnie więzy, stanąłem przy sterze

I całemi siłami pracowałem szczerze;

Płynąłem — jednym okiem poglądając w stronę,
Gdzie wiedziałem, że łuk mój i sajdak złożone,
Drugiem ścigałem brzegi, aby miejsce zoczyć,
Gdziebym mógł, ratując się, najlaciej wyskoczyć.
A wtem postrzegam płytę, ulom brzeżnej skały,
Szeroko rozciągnięty nad jeziora wały.

Rybak. Pod samym wielkim Aksen! znam go doskonale!
Lecz z okrętu nań wskoczyć niepodobna wcale,
Tak wysoko! to prawie nie do uwierzenia!

Tell. Dalej, chłopcy! krzyknąłem, dołóżcie ramienia!
Nuż wiosłami! tu będzie najtwardsza przeprawa!
Gdy ją miniemy, minie i nasza obawa. —
Dalem przykład, — do wiosł wszyscy się rzucili.
Kiedym ujrzał, że bliskośmy już płyty byli,
Się westchnienie do Boga — równam silnem wiosłem
Tył okrętu z nadbrzeżem jeziora wyniosłem,
Chwytałem broń, nateżam się i jestem na skale...
Skacząc, odtrącam nogą łódkę między fale,
Niechaj sobie nią teraz, jak zechcą, miotają!
Szczęśliwym, bo mię tutaj już nie otaczają
Ni moc burzy, ni jeszcze od niej gorsi ludzie!...

Rybak. Tellu! jawna Opatrzność w tym nad wami cudzie!
Ledwie to pojma moje zmysły omamione.
Lecz w którąż teraz udać myślicie się stronę?
Bądźcież jeszcze ostrożni: nic was nie zasłoni
Przed mściwością Geslera, jeśli ujdzie toni.

Tell. Słyszałem, kiedym jeszcze leżał na okręcie,
Że w Brunen wysiąść było jego przedsięwzięcie,
A stamtąd miał mię przez swych do Kisnacht odstawić
Na zamek.

Rybak. Czy tę podróż miał lądem odprawić?

Tell. Zapewne.

Rybak. Zmilujcie się, skryjcie się bez zwłoki.

Więcej może was Boskie nie wyrwą wyroki!

Tell. Bądźcie dobrzy, pokażcie mi do Kisnacht drogę.

Rybak. Trakt wielki jest przez Sarnen, ale ja wam mogę
Wskazać bliższą i skrytszą, jak ostrożność radzi.
Mój chłopiec was na Lowere przez las przeprowadzi.

Tell *podaje mu rękę*. Dobry uczynek Bóg wam zapłaci — bądź-
[cie zdrowi.

Odchodzi i wraca się.

Ale... ale! podobno jesteście związkowi?

Zdaje mi się, że mi coś o was wspomniano...

Rybak. Tak, złożyłem przysięgę, co w Rytli składano.

Szwajcar dobro ojczyzny ma zawsze na celu.

Tell. Zróbcież mi więc tę grzeczność, dobry przyjacielu,

Pójdźcie do Birglen, do mej nieszczęśliwej żony,

Powiedzcie jej, że jestem wolny i dobrze schroniony.

Rybak. Lecz o miejsce schronienia zapyta mnie przecie,

Cóż powiem?

Tell. Mego teścia też tam zastaniecie

I wielu innych, co z nim w Rytli przysięgali.

Mówcie, niech będą zawsze odważni i stali.

Tell wolny i ramieniem wolno działać może,

Wkrótce usłyszą o nim więcej.

Rybak. Wielki Boże!

Cóż to jest! zamysławiacie jakieś rzeczy nowe?

Powiedzcie mi otwarcie!

Tell. Czyn poprzedzi mowę.

Odchodzi.

Rybak. Pokaż mu drogę, Jenni! niech mu Bóg pomaga!

Co Tell zamysli, Tella wykona odwaga!

Rozchodzą się.

SCENA DRUGA.

Pokój Atinghausena — stary w krześle drzemie. — Walter

First, Sztäufacher, Melchtal, Baumgarten około niego. — Walter

Tell klęczy przed konającym.

First. Już po nim — już zakończył to doczesne życie.

Sztäufacher *przykłada mu piórko do ust.*

Nie, on jeszcze nie umarł, czyliż nie widzicie,

Jak się na ustach rusza piórko, gdy oddycha?

Sen jego cichy, pokój w twarzy się uśmiecha.

Baumgarten idzie do drzwi, mówi z kimś.

First. Kto tam?

Baumgarten. To wasza córka na wszystko zaklina,

By mogła mówić z wami, widzieć swego syna.

First. Czegóż chce? Czy ode mnie żąda pocieszenia

Wtenczas, gdy na mnie wszystkie wałą się cierpienia?

Jadwiga wpada. Puście! muszę go widzieć! gdzie jest moje
[dziecię?

Sztaufacher. Pomnijcie, że do domu śmierci przychodzicie,

Uciszcie się!

Jadwiga. Ty żyjesz, mój Walty kochany?

Walter. Biedna matko! *Rzuca się w jej objęcie.*

Jadwiga. Ty żyjesz? nie masz żadnej rany?

Prawdaż to? w ciebie mierzył? o! on nie ma serca!

W rodzone dziecię strzałę wypuszczał! morderca!

First. Ile przy tem ucierpiał, nie wiesz, moje dziecię.

Ale był przymuszony, chodziło o życie...

Jadwiga. Dobry ojciec nim takie spełniłby rozkazy,

Najchętniejby sam wprzód umarł tysiąc razy.

Sztaufacher. Za tak szczęśliwy koniec wielbicie Najwyższego!

Jadwiga. Czyliż mogę zapomnieć, co być mogło z tego?

O wielki Boże! Choćbym wiek jeszcze żyć miała,

Wiecznie będę ten obraz bolesny widziała!

Syn związany, z rąk ojca strzala wypuszczona

Wiecznie, tak, wiecznie leci do mojego łona!

Melchta. Nie wiecie, jak przez wielkie i srogie katusze

Rozdrażniał go starosta.

Jadwiga. Dzikie męskie dusze!

Kiedy jest obrażoną ta duma bez granic,

Głowę dziecięcia, serce matki macie za nic!

Baumgarten. Czyż niedość oplakany los waszego męża,

Że jeszcze zelżywością gniew wasz go obciąża?

Czyż wasza czułość cierpień jego nie podziela?

Jadwiga. A ty lży same tylko masz dla przyjaciela!

Gdzieżeście wtenczas byli, wy, coście tak czuli,

Gdy w sromotne kajdany mego męża kuli? .

Staliście, patrząc na tę zgrozę niesłychaną,

Kiedy wam przyjaciela zpośródka was brano!

Do Baumgartena.

Wspomnij sobie, czy tak Tell postępował z tobą,
Kiedys uciekał, mając żołnierzy za sobą,
A wprzód siebie jezioro wzdęte balwanami?
Nie stał beczynnienie, jak ty, nie zlewał się łzami,
Ratując cię, zapomniał i dzieci i żony!

First. Lecz cóż mogliśmy zrobić dla jego obrony
Z małą garstką bezbronną?

Jadwiga. Ach! ty, ojczyzno luby,
Kraj, wszyscy powinniśmy płakać jego zguby.
Nam wszystkim jego, jemu nas wszystkich potrzeba.
Oby go od rozpaczny uchroniły nieba!
Do tego podziemnego ciemnego więzienia
Nie przedrą się przyjaciół jego pocieszenia.
Gdyby tam jeszcze zasłabł... tak, o wielki Boże!
W tej wilgotnej ciemnicy zachorować może!
Jak róża Alp wysokich na mglistej dolinie,
Nie mogąc znieść wyziewów, więdnije i ginie, —
Tell, pod słońcem i w czystym powietrzu zrodzony,
Nie mógłby wyżyć bez nich... Co! on uwięziony?
On, którego oddechem wolność?... Obaczycie,
Że to zgniłe powietrze odbierze mu życie!

Sztaufacher. Nie rozpaczajcie; chcemy zapobiedz tej stracie,
Uwolnić go...

Jadwiga. I cóż wy bez niego zdołacie?
Nadzieje wasze zgasły wraz z wolnością Tella.
W nim cierpiąca niewinność miała przyjaciela,
W nim miał prześladowany obrońcę w potrzebie.
Sam za wszystkich! Wy wszyscy nie możecie razem
Rozkuć rąk jego, słabem spętanych żelazem!

Atinghausen budzi się.

Baumgarten. Cicho...

Atinghausen. Gdzież on?

Sztaufacher. Kto?

Atinghausen. Jeszcze o mnie zapomina,
Choć już ostatnia moja zbliża się godzina!

Sztaufacher. Chce siostrzeńca; posłał kto, aby mu znać dano?
First. Zaraz przyjdzie, już dawno po niego posłano.

Uspokójcie się: Rudenz już po naszej stronie!

Atinghausen. Mówiłże co w swej lubej ojczyzny obronie?

Sztaufacher. Z bohaterską śmiałością.

Atinghausen.

Gdzież tak długo bawić

Niech go ten raz ostatni wuj pobłogosławi...

Czuje, jak już widocznie życie we mnie gaśnie.

Sztaufacher. Sen posilny, z którego ocknałeś się właśnie,

Wyjaśnił wzrok twój, panie, i pokrzepił siły.

Atinghausen. Bóle są życiem — i te już mię opuściły.

Cierpienia i nadzieje przeszły...

Pokazując na klęczącego Waltera.

Kto ten mały?

First. Pobłogosław go, panie, to osierociał

Wnuk mój, ach! wiele straci, kto ojca postrada!

Atinghausen. I wy tracicie ojca. O, biada mi, biada!

Mój ostatni rzut oka widzi zgon ojczyzny!

Na tożem tej zgrzybiałej doczekał siwizny,

Aby wszystkie nadzieje do grobu szły ze mną?

Sztaufacher do Firsta cicho. Chcecież, aby z tą myślą umarł
[nieprzyjemną?

Odkryjmy mu układy nasze i nadzieje,

Niech mu przed śmiercią gwiazda życia zajaśnieje!

Do Atinghausena.

Dobry panie, pociesz się, wznieś twojego ducha,

Jeszcze nam uwolnienia nie zgasła otucha.

Atinghausen. Któż was obroni? kto wam da potrzebne wsparcie?

First. My sami! Słuchaj, panie, powiemy ci otwarcie:

Musi upaść tyranów nieprawą potęgą.

Związek już jest zrobiony, stwierdza go przysięga,

I nim ten rok się skończy, a nowy nastanie,

Wolność uwieńczy nasze usilne działanie.

W wolnej ziemi złożonem będzie twoje ciało.

Atinghausen. Związek jest już? Chciejcież mi objaśnić rzecz całą.

Melchtal. Wszystkie trzy tu kantony w jednym dniu powstaną.

Tajemnica jest dotąd święcie zachowana,

Chociaż o niej tysiące naszych ziomków wiedzą.

Niedługo się tyrany w tym kraju osiedzą, --

Dni ich zliczone. Krótkie będzie panowanie,

Niebawem nawet śladu ich tu nie zostanie.

Atinghausen. A twierdze?

Melchtal.

W dniu tym wszystkie upadną przed nami

Atinghausen. A szlachta czy już także weszła w związek z wami?

Sztaufacher. Co szlachta myśli, dotąd nic pewnego niema;

Wieśniak przysiągł i pewnie przysięgi dotrzyma.

Atinghausen *podnosi się z podziwieniem.*

Kiedy się do dzieł takich sam wieśniak ośmiela,

A jego prac i trudów szlachta nie podziela,

Gdy sobie ufa, w swoją tylko siłę zbrojny, —

Bez nas się tu obejdzie... umieram spokojny.

Gdy do odżycia takie obrała narzędzie,

Święta godność człowieka i po nas być będzie.

Kładzie rękę na głowę małego.

Stąd, gdzie leżało jabłko, z tej młodziutkiej głowy

Wykwitnie najpiękniejszy dla was owoc nowy,

Wolność nazwany. Dawne zmieniają się koleje,

A na ich gruzach nowe życie zajaśnieje.

Sztaufacher *cicho do Firsta.* Patrzcie, jak nadzwyczajna jasność
[w jego wzroku!

Promień lepszego życia przeziera mu w oku;

Nie, to nie jest ostatnie gaśnienie natury.

Atinghausen. Już szlachta rzuca starych grodów wzniosłe mury.

Składa przysięgę miastom i prawa ich bierze.

Ichthland i Turgau najprzód spełniają przymierze,

Szlachetny Bern podnosi naczelniczą głowę,

Freiburg wolnym schronienie zawsze dać gotowe,

Czynny Zurych przekształca cechy w wojowniki,

Łamie się królów siła o ich wieczne szyki.

W coraz większe wpadając zachwycenie, mówi wieszczym duchem.

Widzę już najmeźniejszych idących hetmanów,

Tysiące różnych książąt i szlachetnych panów,

Tysiące zbrojnych koni, tysiące puklerzy ¹⁾

Na podbicie narodu spokojnych pasterzy.

Na śmierć i życie walczą z tej i z tamtej strony,

Najeden wąż stosem trupów napelniony.

¹⁾ Tarcza.

Wieśniak z nagiemi piersi, w mężne zbrojny ramię,
Wpada na lenne wojska, las dzi rytów¹ łamie,
Z szlacheckiej młodzi liczne pokłada ofiary
I rozwija zwycięskie wolności sztandary.

Chwyta za ręce Firsta i Sztaufachera.

Bądźcie jedni, a związek ten wiecznym się stanie.
Każdy z was niech zna każde wolności mieszkanie,
Abyście mogli razem być w każdym momencie.
Rozstawcie strażę... Święte wasze przedsięwzięcie,
Lecz bądźcie jedni... jedni...

*Pada w krzesło; jeszcze jakiś czas martwemi rękami trzyma
ręce Sztaufachera i Firsta, po chwili ci oddalają się na bok,
okazując wielki żal. Domownicy się schodzą i obstępują go
wkoło, niektórzy klękają i całują go po rękach i płaczą. Ci-
chość. Słychać dzwonek ratuszowy.*

Rudenz wpada.

Żyjeż on? o Boże!

Mówcie, żyjeż on jeszcze? wysłuchać mnie może?

First. Wyście już naszym ojcem, naszym lennym panem,
A ten zamek pod innem odtąd będzie mianem.

Rudenz. Nieba! więc już za późno żałuję za grzechy!

Oby jeszcze był chwilę żył dla mej pociechy,

By widział odrodzone to serce na nowo.

Za życia pogardzałem jego szczerą mową...

Umarł.. dłużnikiem jego zostałem na wieki!

Gniewał się na mnie, kiedy zamykał powieki?

Sztaufacher. I owszem, błogosławił już przy samym zgonie

Waszą odwagę w śmiałej wolności obronie.

Rudenz klęka i chwyta za rękę zmarłego.

Tak jest, tak, szanownego męża święte szczątki!

Na miłość waszej wszystkim tak drogiej pamiątki,

Na to gorące waszych zimnych rąk ujęcie

Przysięgam i przysięgi tej dotrzymam święcie:

Rozrywam związki, które dotąd mnie trzymały,

I dla mojej ojczyzny poświęcam się cały.

Jestem Szwajcarem i chcę nim być z całej duszy!

Wstaje.

¹) Włócznie.

Nieprędko się na licach waszych łza osuszy...
Płaczcie go, lecz rozpaczać nie macie przyczyny:
Duch jego spada na mnie, jak jego dziedziny.
Chcę, aby moje młode lata nagradzały
To, co wam został winien jego wiek zgrzybiały.
Ojcowie, ty, Melchtalu, podajcie mi ręce,
Przysięgam wam, że cały dla was się poświęcę!

Melchtal się wzdryga.

Ty nie chcesz? namyślasz się? Melchtalu! Melchtalu!
Przyjmij moją przysięgę, nie przyczyniaj żalu,
Nie odwracaj się...

First do Melchtala. Dosyć tego, gniew na stronę!
Warte ufności jego serce nawrócone.
Daj mu rękę!

Melchtal. Wieśniakiem duma wasza gardzi,
I możnaż wam zaufać, gdyście tacy hardzi?

Rudenz. Puść w niepamięć młodości mojej płochą chwilę.

Sztaufacher do Melchtala. Czy już naszego ojca szanownego tyle
Ostatnie: »Bądźcie jedni« — zapomniałeś, bracie?

Melchtal. Niech i tak będzie — oto moją rękę macie,
Niechęć moją to świete wspomnienie zwycięża.
Kiedy wieśniak dał rękę, to dał słowo męża,
A prawdę mówiąc, szlachta bez nas mało znaczy:
Od stanu szlacheckiego dawniejszy wieśniaczy.

Rudenz. Szanuję go i mieczem moim go zasłonię.

Melchtal. Ramię zapracowane w twardym ziemi łonie,
Robiąc je urodzajnem, to ramię, mój panie,
Was też nawzajem mieczem zasłonić jest w stanie.

Rudenz. Mnie niechaj wasze piersi, was niech moje strzegą,
A tak będziemy mocni jeden przez drugiego...
Lecz cóż teraz z tej mowy, kiedy nasze domy,
Trzody, majątki tyran zagarnia łakomy?
Wypędźmy wprzód wroga z szwajcarskiej zagrody,
A pewnie się zgodzimy wśród wspólnej swobody!

Milczy chwilę.

Milczycie? Czyliż nic mi nie macie powiedzieć?
Czym jeszcze nie zasłużył, abym to mógł wiedzieć?
Więc przeciw waszej woli, od was pogardzony,

Muszę się wdzierać w związek, beze mnie zrobiony!
Wiem ja, żeście się w Rytli tajemnie schodzili,
Wiem, na coście przysięgli, coście ułożyli.
Choć nas rozłączał taki nieufności przedział,
Święciem tań, czegom się nie od was dowiedział.
Nigdy nie był ojczyzny mej nieprzyjacielem,
Zawsze me chęci z waszym zgadzały się celem.
Wiercie mi, wieleście już na tem utracili,
Że odwlekacie zemstę od chwili do chwili.
Czynów trzeba! nie można czekać żadną miarą,
Nieczynności to waszej Tell już padł ofiarą!

Sztaufacher. Przysięgliśmy nie zacząć działać przed świętami.

Rudenz. Jam tam nie był i razem nie przysięgał z wami,

Przysięgliście — czekajcie, Rudenz działać będzie.

Melchtal. Jakto? wybyście śmieli? Nie macieź na względzie...

Rudenz. Po wuju ojcem waszym zostałem krwi związkiem,

Bronić was jest najpierwszym moim obowiązkiem.

First. Najpierwszym obowiązkiem twoim dzisiaj, panie,

Powinno być tych świętych szczątków pogrzebanie.

Rudenz. Uwolśmy wprzód ojczyznę od powszechnej klęski,

Potem mu w trumnę wieniec włożymy zwycięski.

Ja prócz wspólnej, za swoją także sprawę walczę:

Nie wiecie, jak daleko zapędy zuchwalcze

Posunął sprośny tyran. Drodzy przyjaciele!

Tych haniebnych, tych groźnych przestępstw już za wiele

Śluchajcie: moja Berta, moja ulubiona,

Porwana jest tajemnie z swoich ziomeków łona!

Sztaufacher. Jakto? aż tak daleko przekroczył granice?

Targnął się na tę wolną szlachetną dziewczę?

Rudenz. Bracia, przysiągłem, że wam będę dopomagał,

Nie myśląc, bym pomocy waszej pierwszy błagał.

Porwana mi kochanka moja! nieszczęśliwa!

Kto wie, gdzie ją ten wściekły rozpustnik ukrywa!

Wstręt jej serca przemocą zechce zmusić może.

Zaklinam was, dajcie jej pomoc, wielki Boże!

Ona was i kraj kocha, i nie wartaż ona,

Abyście za nią wszyscy zbroili ramiona?

First. I cóż chcesz robić, panie? rozważyłeś ściśle?

Rudenz. Czyliż ja wiem, co robię lub co robić myślę?
W tej ciemnej nocy, co jej los kryje przede mną,
W walce między nadzieją i trwogą tajemną,
Kiedy sam nie wiem, której mam się chwycić strony,
Jeden w mej duszy widzę sposób jej obrony:
Złączcie się ze mną! pójdźmy własnymi rękami
Szukać jej pod upadłej tyranii gruzami,
Obalmy wszystkie twierdze, a tak bez wątpienia
Aż do jej podziemnego dojdziemy więzienia!

Melchtal. Idź, panie, poprowadź nas, pójdziemy w twe kroki,
Dosyć już, dosyć tej nas tak hańbiącej zwłoki!
Co dziś zdolamy, poco do jutra odwlekać?
Tell był wolnym, gdy myśmy świąt przyrzekli czekać,
Zgrozy dzisiejsze jeszcze nie były nam znane.
Zmiana czasów pociąga naszych ślubów zmianę;
Któryż z Szwajcarów gnuśny i nieczuły tyle,
Żeby śmiał jeszcze zemstę zwlekać choć na chwilę?

Rudenz do starszych. Wy wracajcie do domów i tam uzbrojeni
Czekajcie zabłyśnięcia znakowych płomieni.
Takim sposobem szybkim gończej żagwi lotem,
Ledwo my zwyciężymy, dowiecie się o tem.
Jak palące się szczyty postrzeżecie z domu,
Wpadnijcie wrogom swoim na kark naksztalt gromu,
Wytepcie ich i strasznem rozpaczny ramieniem
Wywróćcie tyranii budowę z korzeniem!

Rozchodzą się.

SCENA TRZECIA.

Wawóz przy Kisnacht. W głębi teatru droga pomiędzy skały idzie z góry, tak, że nim aktor wyjdzie na scenę, widno go na górze.

Tell sam z łukiem w ręku.

Tym wawozem, tak, pewnie tą drogą pojedzie,
Bo żadna inna tędy do Kisnacht nie wiedzie.
Sposobność dobra, miejsce mi sprzyja, tu zginie.
Za tym krzakiem jałowcu skryję się w gęstwinie,

Stąd przed moim pociskiem nie go nie zasłoni,
Ważka droga zatrzyma straż jego w pogoni.
Uderz się w piersi! żałuj za grzechy, tyranie!
Zegar twojego życia wkrótce bić przestanie!...

Żylem błogo... nie znalazłem trosk ani zgryzoty,
W krwi tylko leśnych zwierząt broczyłem te groty,
Zabójstwo nigdy czystych myśli nie zmąciło.
Ty, wydzierając z serca tę spokojność miłą,
Zmieniłeś ją w jad wrzący zatrutej gadziny!
Przez ciebie niczem dla mnie najgroźniejsze czyny!
Kto miał głowę dziecięcia na cel wystawioną,
Ten bez wątpienia trafi w swego wroga łono!...

Niewinne nasze dzieci, nasze wierne żony
Wyrwać muszę z twej paszczy, krwią nienasyconej!
Wówczas gdym łuk napinał, gdy mi drżały ręce,
Kiedyś czując szatańską rozkosz w mojej męce,
Zmuszał mnie w własne dziecko wymierzać pociski,
Kiedym cię u nóg błagał, prawie skonu blizki,
Wówczas Bóg, co nad nami czuwa w każdej dobie,
Sam słyszał tę przysięgę, którą wyrzekł w sobie,
Że pierwsza moja strzała, którą łuk uzbuję,
Pierwsza, którą wypuszczę, pójdzie w serce twoje.
Com poprzysiągł, piekielne ponosząc katusze,
Jest dla mnie świętym długiem — wypłacić go muszę!

Jesteś moim nadwładnym, boś z cesarza ręki;
Lecz tak okrutne komu wyszukiwać męki
Cesarzby nawet nie śmiał, — zesłał cię w te państwa,
Byś nas uciskał jarzmem ciężącym poddaństwa,
Gnębił ducha wolności, ubożył opłatą,
Sądził ostro, bo on sam ostry — lecz nie na to,
By ci bezkarnie uszedł każdy czyn złośliwy!
Wiedz, że jest Bóg nad nami karzący i mściwy!

Pójdź tu, ty sprawco gorzkich bólów! w tym momencie
Najkosztowniejszy skarbie! drogi dyamencie!
Jedyna moja strzała!... o, będziesz cel miała,
Którego żadna prośba przebić nie zdołała!
Ty go przebijesz — a ty, łuku doświadczony,
Coś mi w zabawach dawał liczne zwycięstw plony,

Daj mi i tę wygraną, straszną — lecz prawdziwą!...
Trzymaj choć ten raz jeszcze, ty wierna cięciwo,
Coś tylu moim strzałom lotu przyspieszała!
Bo jeśli ta szparkości dość nie będzie miała,
Ostatnią jest!... już drugiej nie mam do puszczenia!...

Kilku podróżnych idzie przez scenę.

Tu zaczekam, — to małe siedzenie z kamienia
Na spoczynek idącym tędy przeznaczone.
Tu niemasz domu, każdy idzie w swoją stronę;
Tu wędrownik ozieble mija wędrownika,
Nie spyta, co go boli lub co go dotyka.
Staranny kupiec — płochy gracz — pielgrzym ubogi —
Mnich bogobojny — zbójca, nieznający trwogi —
Mulnik powolny, krajów dalekich mieszkaniec —
(Bo każda ścieżka wiedzie aż na świata kraniec)
Jedni skwapliwie spieszą ku rodzinnej strzesze,
Drudzy do swych zatrudnień — ja do mordu spieszę...

Siada.

Niegdyś, kiedy wasz ojciec szedł na polowanie,
Drogie dzieci! jak czule było przywitanie,
Kiedy z tej niebezpiecznej powrócił wyprawę!
Zawsze wam coś pięknego przyniósł do zabawy!
Czy to ptaka rzadkiego, czy kwiat alpej róży,
Co mu się wydarzyło znaleźć w tej podróży. —
Dzisiaj go lada jaka zdobycz nie omami:
Czatuje na przesmyku z zbójczemi myślami,
Życie nieprzyjaciela chce łowów w nim nieci!
A przecie zawsze o was myśli, lube dzieci!
Dla waszej przeciw zemście tyrana obrony
Teraz do skrytobójstwa ma łuk natężony... *Wstaje.*

Zwierz, co go dziś spoluje, będzie rzadki bardzo!
Kiedy myśliwi znojem i trudami gardzą
Dla dostania jelenia albo dzikiej kozy,
Nie zważając na burzę, na najcieńsze mrozy,
Lecą bezwzględnie tam, gdzie ich namietność ciska,
Broczą krwią swoją krzaki i ostre urwiska —
Moje trudy piękniejsza dziś zdobycz nagrodzi:

Serce wroga, co na mnie tak zawzięcie godzi!

Słychać zbliżającą się weselną muzykę.

Zabawą mą jedyną od małego dziecka

Było użycie łuku i sztuka strzelecka —

I w zapasach do celu trafnym moim strzałem

Nie jeden piękny zakład nieraz już wygrałem —

Lecz strzał mistrzowski będzie dopiero dzisiejszy!

Wygra mi zakład w całych górach najpiękniejszy!

Wesele przechodzi przez scenę i idzie do góry w wąwóz —

Tell je z daleka uważa, wsparty na łuku — Sztisi, jeden z weselnych, przyłącza się do niego.

Tell i Sztisi.

Sztisi. Jużci nasz pan posesor to człowiek jedyny.

Widzicie, jakie huczne sprawią zaślubiny?

Ale bo też ma za co! ogromnie bogaty!

Z dziesięciu włości w Alpach pobiera intraty;

Idziemy do Imizy, gdzie jego kochana.

A tę noc przehulamy w Kisnacht aż do rana!

Chodźcie! miłym nam gościem każdy człowiek prawy.

Tell. Gość smutny źle się wyda śród weselnej wrzawy.

Sztisi. Ej! co tam! porzućcie te niepotrzebne kwasy!

Drzeć łyka, gdy się daje! ciężkie teraz czasy!

Potrzeba chwycić rozkosz, kiedy się nadstawia:

Tu wesele, a tam ktoś może pogrzeb sprawia...

Tell. Te dwie sprzeczności razem schodzą się niekiedy.

Sztisi. Tak to, tak na tym świecie, pełno wszędzie biedy:

Świeżo przez Glarnen trąba tak wielka leciała,

Ze całą jedną stronę góry oderwała!

Tell. Góry się chwieją, cóż jest stałego na świecie?

Sztisi. Gdzie się obróć, każdy dziwy jakieś plecie.

Właśnie jeden, co z Baden powracał niedawno,

Rozповідаł mi także rzecz bardzo zabawną.

Rycerz pewien do króla jechał — lecz szerszenie

Opadłszy konia pod nim, w jedno oka mgnienie

Położyły go trupem, — tak z wielką sromotą

Nasz pan rycerz do króla przyjechał piechotą!

Tell. I najslabszy ma żądło, którem ranić może.

Tymczasem Armgart przychodzi z dziećmi i staje w wąwozie.

Sztisi. To niepojęte cuda! dlatego się trwożę,

Czy nie są przepowiednią te niezwykle burze

Kłęk kraju, albo czynów przeciwnych naturze?

Tell. Podobnych czynów codzien pełen jest świat cały,

Nie trzeba cudów, co by poprzedzać je miały!

Sztisi. Dobrze temu, co własną uprawiając niwę,

W pokoju w gronie swoich pędzi dni szczęśliwe!

Tell. I najzgodniejszy wytrwać nie zdoła w pokoju,

Gdy go zły sąsiad ciągle wyzywa do boju.

Ogląda się niecierpliwie.

Sztisi. Wy tu kogoś czekacie?

Tell.

A tak.

Sztisi.

Bądźcie zdrowi!

Oby was z uniesieniem witali domowi.

Jesteście z Uri? stamtąd Gesler z całym dworem

Ma tu przyjechać jeszcze dzisiaj przed wieczorem.

Przechodzień. Już nie przyjedzie, próżno czekacie starosty,

Wezbrana w Alpach woda pozrywała mosty.

Burza dzisiejsza wiele narobiła złego.

Armgart. Jakto? już nie przyjedzie?

Sztisi.

Macie co do niego?

Armgart. O! mam!

Sztisi.

Ale dlaczegoż na drodze stajecie?

Armgart. Musi mię słuchać! tu już nie ujdzie mi przecie!

Frishard *leci wąwozem i krzyczy.*

Z drogi! hej, z drogi! dalej! tam stańcie na przedzie!

Pan starosta tuż za mną!...

Tell odchodzi.

Armgart.

Co? jedzie już? jedzie!

Gesler i Rudolf ukazują się na górze na koniach.

Sztisi do Frisharda. I jakżeście przebyli te liczne przeszkody,

Kiedy mówią, że mosty pozrywały wody?

Frishard. Kto wśród jeziora fali nie był zdjęty trwogą,

Tego deszczowe wody zatrzymać nie mogą.

Sztisi. Podczas tej strasznej burzy w okręcieście byli?

Frishard. Nie zapomnę do śmierci tej okropnej chwili!

Sztisi. Jakimże...

Frishard. Bądź zdrow! muszę lotem błyskawicy
Przyjazd swojego pana ogłosić w stolicy! *Odjeżdża.*

Sztisi *sam.* Gdyby poczciwi ludzie byli wśród okrętu,
Byliby wytonęli pewnie co do szczętu!
Oni cali! bo co ma wisieć, nie utonie!
Ale gdzież jest mój strzelec?

Ogląda się za Tellem i odchodzi.

Gesler i Rudolf Harras *przejeżdżają w rozmowie.*

Gesler. Mów w ludu obronie,
Co zechcesz, ale ja się na wszystko odważę.
Jestem sługą cesarza, robię, co on każe.
Chcę zyskać jego względy; — czyliż ci się zdaje,
Że on mię na to przysłał w te buntowne kraje,
Bym je głaskał, rozpieszcział i patrzył spokojnie,
Jak o starszeństwo ciągle chłop z cesarzem w wojnie?
On pragnie posłuszeństwa, ja dogadzam woli.

Armgart *przybliża się z bojaźnią.*

Teraz może do siebie przemówić pozwoli.

Gesler. Nie na tom ja w Altorfie kapelusz wystawił,
Abym tem siebie albo pospólstwo zabawił,
Ni aby przez to serca ludu kładł na szalę:
Znam ja je już oddawna! o, znam doskonale!
Lecz na to: bym się poił największą rozkoszą,
Zgięte widząc te karki, co tak hardo noszą.
Postawiłem im tamę, by za każdym krokiem
Trącąc o nią czołem i niechętnem okiem,
Podległości swej panu dawali dowody.

Rudolf. Ale gdzież są ich prawa? gdzież są ich swobody?

Gesler. Nie czas teraz, aby je uważać tak ściśle.

Pan miłościwy wielkie dzieło ma w zamyśle,
Chce, aby z jego domem cesarstwo wzrastało,
Co ojciec zaczął, to syn chce dokończyć z chwałą.
Kamieniem nam na drodze te zuchwale dusze!
Lecz ja im hardych rogów przytrzeć chcę i muszę,
Muszą nakoniec uleźć!

Armgar *rzuca się na kolana.* Najłaskawszy panie!

Nad nieszczęsną niewiastą miej politowanie!

Gesler. Ustąp się! precz z prośbami twemi! naprzykrzona!

Precz z drogi!...

Armgar. Panie! mąż mój w więzieniu już kona,

Sieroty płaczą! nie mam i kawałka chleba!

Zlituj się! zlituj! twojej łaski nam potrzeba!

Daj się ubłagać głosem cierpiącej natury!

Rudolf. Któż jest twój mąż?

Armgar. Mieszkaniec tej pobliskiej góry.

Krwawą pracą rąk swoich wyżywiał dom cały,

Skaszał trawę z przepaści niedostępnej skały,

Gdzie nawet bydlę nigdy nie stąpiło nogą,

I sprzedają jej żywił rodzinę uboga!

Rudolf. Na miłość Boską! panie, zlituj się ich doli!

Jej męża, dzieciom ojca każ puścić z niewoli!

Jakkolwiek wielkie były jego wykroczenia,

Karze go dosyć nędzny sposób wyżywienia.

Do kobiety.

Dobrze, wróci się wolność mężowi twojemu;

Przyjdź na zamek, tu miejsce i czas nie po temu.

Armgar. Nie! nie! nie ruszę z miejsca, przysięgam na życie!

Dopóki mi mojego męża nie wróciacie!

Sześć miesięcy obarczony ciężkimi okowy,

Leżąc w więzieniu, czeka na wyrok sądowy!

Gesler. Szalona! chcesz mię zmusić? precz z drogi! bo w złości...

Armgar. Ja od swego sędziego chcę sprawiedliwości!

Jesteś u nas na miejscu cesarza i Boga!

Rób więc, jak ci wskazuje powinności droga!

Zaklinam cię na miłość własnego zbawienia!

Wymierz mi sprawiedliwość! puść męża z więzienia!

Gesler. Precz!... weźcie mi z przed oczu tę zuchwałą zgraję!..

Armgar *chwytą konia za cugle.*

Nie! mnie już do stracenia nic nie pozostaje!

Póki mi go nie oddasz, nie puszcze cię krokiem!

Marszcz czoło! chciej mię pożreć swym szatańskim wzrokiem!

Tak już są wielkie klęski i nieszczęścia nasze,

Że się gniewu ni groźby twojej nie ustraszę!..

Gesler. Ustąp się! bo mię mową przywiedziesz zuchwałą
Do tego, że cię koniem stratuje!...

Armgar *kładzie się z dziećmi przed konia.* Jedź śmiało!

Masz w rękę życie sierot i słabej kobiety!

Jedź! mścij się! potratuj nas końskimi kopyty!

Ta czynność najgorsząby z dzieł twoich nie była!

Rudolf. Kobieto! czy cię władza zmysłów odstąpiła?

Armgar. Dawno już wywierając swą wściekłość nad nami,

Kraje cesarza swego depcesz pod nogami!

Czemuż jestem kobietą! gdybym mężem była,

Nie leżałabym!...

Gesler. Gdzież się moja straż spóźniła?

Hej! strażę! wziąć ją z drogi! bo w gniewu zapędzie

Zrobię to, co mi potem nieprzyjemnem będzie.

Rudolf. Daruj, panie! lecz strażę twoję, wąską drogą

Wstrzymane przez wesele, pospieszyć nie mogą.

Gesler. Nadto łagodnie rządę tymi buntownikami,

Że aż do tego stopnia śmiało ich języki, —

Nadto łagodnie pańską rozpościeram władzę.

Ale odtąd przysięgam, że temu zaradzę.

Znali mię łagodnego, poznają i w gniewie,

Zgaszę to buntownicze wolności żarzewie!

I aby moja groźba nie była daremną,

Stanowią prawo..

Strzała go trafia, chwytła się ręką za serce i chwiejąc się,

Boże! zmiłuj się nade mną!...

Rudolf. Panie starosto! Boże! cóż to? skąd ta zdrada?

Armgar *zrywa się.* Śmierć! śmierć! on jest zabity! chwieje się!

[upada!

Rudolf *skacze z konia.* Panie! panie! ah! cóż to za straszne zda-

[rzenie!

Módl się do Boga, panie! proś o przebaczenie!

Tyś blizki śmierci!

Gesler. Tellu! twoją strzałą ginę!...

Gesler spada z konia, Rudolf kładzie go na kamieniu.

Tell *ukazuje się na górze.*

Znasz strzelca! wiesz więc, komu masz przypisać winę!

Bezpieczna już niewinność! swobodne osady
Nie lękają się twojej mściwości ni zdrady.

Znika, — lud zbiega się.

Sztisi. Jakież tam krzyki? cóż tam znowu? co się stało?

Armgar. Nie widzicież Geslera przeszytego strzałą?

Lud. Kto zabity?

Weselni się schodzą, — muzyka się przybliża.

Rudolf. O nieba! jak się we krwi broczy!

Gdzie jest straż? niech natychmiast ten wzgórek obkoczy.

Chwycić zbójcę!... nieszczęsny! ległeś pastwą zdrady.

Przestrzegalem, nie chciałeś słuchać mojej rady.

Sztisi. Jak zbladł bardzo — ostatni dech z siebie wypuszcza.

Lud. Czyj to czyn?...

Muzyka się przybliża.

Rudolf. Czy się wściekla ta weselna tłuszcza!

Gra przy morderstwie! niechaj natychmiast przestanie!

Muzyka milknie.

Panie starosto! jeśli mówić jesteś w stanie,

Powierz mi, co...

Starosta daje znak ręką.

Do Kisnacht każesz mi pojechać?

Nie rozumiem...

Gesler rzuca gwałtownie ręką.

Chciej raz już tych gniewów zaniechać!

Po twojem na tym świecie przewinieniu mnogiem

Przechodząc do wieczności, pojednaj się z Bogiem!

Więcej ludu i całe wesele obstało konającego, bez najmniejszego wyrazu żalu.

Sztisi. Coraz to bledszy! serce już mu krew zalewa...

Przymruża oczy... oho! już duszę wyziewa...

Armgar. *podnosi dziecko w górę.* Patrzcie, kochane dzieci! tak

[to tyran kona!

Rudolf. Bezbożne! czy już czułość tak w was wytępiona,

Że z zimną krwią pasiecie tym widokiem oko?

Chce wyrwać strzałę z serca.

Pomóżcie dobyć strzały, utkwionej głęboko,

Sam nie zdołam — ten widok siły*mi osłabił.

Kobiety, cofając się. Mybyśmy tknęły tego, którego Bóg
[zabił?...

Rudolf chce dobyć broni. O! przekłete bluźnierstwo!...

Sztisi chwyciła go za rękę. Wstrzymaj się, mój panie!

Już się skończyło u nas wasze panowanie!

Tyran nie żyje — gwałtów nikt znosić nie zdolny!

Odtąd jesteśmy wolni!

Wszyscy. Kraj nasz już jest wolny!...

Rudolf. Czy już do tego przyszło? zgrajo wyuzdana!

Myślisz, że jedną zbrodnią pozbyłaś się państwa?

Do straży, co dopiero przybyła.

Patrzcie, jaka to zbrodnia stała się bezbożna!

Zabójstwo! I ratunku dać mu już nie można!

Złoczyńcę pojmać trudno, — nie tracąc więc chwili,

Lećmy do Kisnacht, byśmy twierdzę obronili!

Brońmy władzy cesarskiej całą naszą siłą!

Bo widzę z tego, co się tu dzisiaj zdarzyło,

Że nie masz ani jednej przyjaznej nam duszy,

Karności i porządku łańcuch już się kruszy!

Odjeżdża ze strażą. — Bracia Miłosierni przychodzą.

Armgar. Rozstąpcie się! już księża przychodzą po niego!

Sztisi. Zwyczajnie kruki lecą, gdzie pastwę postrzegą.

Księża obstępują umarłego w półkole i śpiewają.

Szybko człowieka tnie śmierć bez wyboru,

Nie przestrzegając o chwili przybycia,

Strąca go z ledwie zaczętego toru,

Gasi pochodnię wśród pełnego życia,

Czy jest gotowym, czy nie jest gotowym,

Musi się stawić przed sędzią surowym!

Kiedy powtarzają ostatnie dwa wiersze, zasłona spada.

AKT PIĄTY.

SCENA PIERWSZA.

Miejsce publiczne w Altorfie, — w głębi na prawo warownia Cwinguri z rusztowaniami, jeszcze nieskończoną robotę oznaczającemi, jak w scenie trzeciej aktu pierwszego, — na lewo widok gór, na których ognie się palą, — świtanie — słychać dzwony z różnych stron.

Ruodi, Kuoni, Werni, Mularz, Sztir z Uri, i wielu innych ludzi, dzieci i kobiet.

Ruodi. Patrzcie! po górach znaki wolności już ploną!

Mularz. Słyszycie dzwon za lasem?

Ruodi. Wroga wypędzono!

Mularz. Twierdze wszystkie dobyto!

Ruodi. Więc my tylko w Uri

Mamy spokojnie widzieć samowładztwa mury?

Maż na ostatku wolność wschodzić na tej ziemi?

Mularz. Zwalmy te gmachy jarzma! precz z niemi!

Wszyscy. Precz niemi!

Ruodi. Gdzie jest trębacz?

Sztir z Uri. Tu jestem — co chcesz?

Ruodi. Leć na wieżę,

Uderz w róg! niech głos jego górali ostrzeże,

By jak najspieszniej biegli na kraju obronę!

Tylko mocno, by echa w jarach przebudzone

Niosły hasło powstania w jak najdalsze knieje!...

Sztir odchodzi. Walter First przychodzi.

First. Stójcie, bracia! nie wiemy dotąd, co się dzieje

W tamtych kantonach — trzeba czekać wiadomości.

Ruodi. Czegóż czekać? pądl tyran, przyszedł dzień wolności!

Mularz. Mamyż posłańców czekać? nie lepszeź posłańce

Te błyszczące po górach powstania kagańce?...

Ruodi. Nuż mężowie! kobiety! dalej! bez wahania!

Dołóżmy naszych dłoni! zrzućmy rusztowania!

Obalmy ściany! łuki rozsądźmy w sklepieniu!

Niech nie zostanie ani kamień na kamieniu!..

Mularz. Dalej, czeladzi! chodźmy! cośmy zbudowali,
To potrafimy zburzyć!...

Wszyscy. Dalej! razem! dalej!

Rzucają się z wszystkich stron i rozbierają budowę.

First. Próżno chcieć ich powściągnąć w raz zaczętem dziele.

Melchtal. Co? ten gmach jeszcze cały? gdy Sarnen w popiele

I Rosberg obrócony już dawno w perzynę?...

First. Cóż tam, Melchtalu? jaką niesiesz nam nowinę?

Uwolniliście kraj nasz! wypędzili wroga?

Melchtal, *ściskając go.* Cieszcie się, ojcze! kraj nasz czysty z las-
[ki Boga,

I jednego tyrana nie masz już w tej chwili!

First. Mówcie, jakim sposobem twierdżecie dobyli?

Melchtal. W zdobyciu Sarnen Rudenz sam okrył się chwałą,

Na Rosberg mnie się wczoraj wieczór wleść udało.

Lecz słuchajcie: ledwo że Sarnen był zdobyty,

Ognie wzniecone, zamku przewyższając szczyty,

Z tryumfem w oczach naszych w niebo się wznosiły,

Aż tu giermek starosty krzyczy, co ma siły:

Berta gore!...

Słychać łom belek walącego się gmachu.

First. O nieba!

Melchtal. I tak w samej rzeczy.

Gesler myśląc, że tem ją sobie zabezpieczy,

Zamknął ją. — Na te straszne słowa usłyszane

Jęknął Rudenz; bośmy już słyszeli o ścianę

Walące się z loskotem belki i filary,

I z kłębów dymu jęki niewinnej ofiary.

First. I cóż?

Melchtal. Tu prócz szybkości — serca trzeba było.

Kłaść życie żadnemu z nas aniby się śniło,

Gdyby on tylko tem był, czem przed kilku dniami:

Szlachcicem naszym, — lecz on był już w związku z nami.

A Berta czciła naród. Nie myśląc więc, śmiało

Rzuciliśmy się w ogień.

First. I cóż się z nią stało?...

Melchtal. Zdrowa — lecz ledwieśmy ją wyrwali z płomienia,

Ja z Rudenzem, zapadły belki jej więzienia.

Dopiero baron widząc, że już jego miła
Mimo niebezpieczeństwa oczy otworzyła,
Rzucił się do mnie, łono przycisnął do łona,
I wtenczas uroczysta milczenia zasłona
Stworzyła węzeł, który w ogniu hartowany,
Przetrwa pewnie niezłomny wszystkie losów zmiany!

First. Gdzież Landenberg?

Melchtał. Za Brinnig trwoga go zagnała.

Ten, co mojego ojca oślepił, bez mała
Ze swój wzrok uniósł dzisiaj, bom go już miał w dłoni.
Widząc, że zmyka, w prędkiej bo dusznej pogoni
Schwyciłem go i do stóp rodzica cisnąłem;
Ten miecz wzniesiony już mu przyświecał nad czołem;
Jęczał, błagał, aż ciemny starzec litościwy,
Nie chcąc się mścić, pozwolił, aby uszedł żywy,
Lecz przysiągł nie powracać. Ze ślubu nie złamię,
Spodziewam się, bo uczuł, co może to ramię.

First. Dobrze, że nieskalana krwią zwycięstwa czystość.

Dzieci, *biegnąc z resztkami rusztowania*. Wolność! wolność!

First. Widzicie, jaka uroczystość!

Te dzieci będą dzień ten w starości wspominać.

*Dziewczęta niosą kapelusz na kiju, cała scena napętnia się
ludem.*

Ruodi. Kapelusz, przed którym nam kazano się zginać!

Baumgarten. Poradźmy się, coby z nim teraz zrobić trzeba.

First. Pod tym to kapeluszem stał mój wnuk! o nieba!

Kilka głosów. Zniszczyć! spalić ostatnie samowładztwa szczątki!

First. Stójcie! i owszem, schować dla wiecznej pamiątki.

Ten sam znak, co przemocy służył za narzędzie,

Odtąd na zawsze znakiem wolności niech będzie!

*Całe zgromadzenie, kobiety i dzieci siadają w malowniczej
grupie po rozwalinach.*

Melchtał. Bracia! na gruzach władców zburzonej potęgi

Cieszymy się z dopełnionej szczęśliwie przysięgi!

First. Jeszcze trzeba stałości i męstwa, bo dzieło

Nie jest jeszcze skończone, chociaż się zaczęło.

Za swymi starostami król pewnie obстанie,

Będzie mścić śmierć jednego, drugiego wygnanie,
I tegoż pewnie zbrojno nazad tu wprowadzi.
Melchtal. Niechno tu przyjdzie z wojskiem, będziemy mu radzi;
Gdy wewnątrz kraju wroga żadnego nie mamy,
Nieprzyjaciela zewnątrz łatwo uporamy!
Ruodi. Kilka miejsc wązkich dają wstęp do naszej ziemi,
Te możemy zagrodzić ciałami naszymi!
Baumgarten. Jedność naszego związku nie lęka się broni!

Reselman i Szttaufacher.

Reselman. Okropne wieści!

Lud. Cóż tam?

Reselman. Ha! niech Bóg ochroni!

Co za czasy!

First. Cóż tam znów pan Werner opowie!

Znów coś strasznego?

Lud. Cóż tam?

Reselman. Słuchajcie, ziomkowie!

Szttaufacher. Od największej już wolni jesteście obawy.

Reselman. Cesarz zamordowany.

First. Ha! Boże łaskawy!

Wszyscy powstają i otoczywszy Szttaufachera, krzyczą
Cesarz zabity! Cesarz nie żyje! słyszycie!

Melchtal. Czy podobna? Czy tylko z pewnością to wiecie?

Szttaufacher. Że nasz król Albrecht zbójczej dłoni padł ofiarą

Przy Bruck, tę wieść powszechnie zaszczycony wiarą

Mąż, Jan Miller z Szafhuzy, przywiózł niezawodnie.

First. I któż to na tę wielką poważyl się zbrodnię?

Szttaufacher. Zda się wam jeszcze większą, gdy poznacie kata.

Własny siostrzeniec, bo syn ciotecznego brata,

Jan z Szwabii, zniesławił się tą czynnością podłą.

First. Do tego ojcobójstwa coś znów go przywiodło?

Szttaufacher. Powiadają, jakoby cesarz, chciwy wziętku,

Ociagał się z oddaniem mu ojca majątku.

I przywłaszczenia sobie dóbr jego myśl chytrą

Siostrzeńcowi biskupią chciał nagrodzić mitrą.

Jak tam już wreszcie było, nie wiem, lecz nie dziwy,

Że za radą przyjaciół, młody, zapalczywy,

Zniósł się z domami Palmów, Wartów, Eszenbachów,
Aby odzyskać siłą otwartych zamachów

To, czego sprawiedliwość przyznać mu nie chciała.

First. Lecz przecie powiedzcie nam, jak się ta rzecz stała?

Sztaufacher, Ot tak: z Sztejnu do Baden w drodze, przed wie-
[czorem,

Chcąc w Rajnfeld z czekającym połączyć się dworem,

Jechał cesarz na koniu, — wkoło swego pana

Oprócz książąt krwi: Leopolda oraz Jana,

Wysoce urodzonych pańsat liczne grono.

Tak jadąc, gdy do rzeki Rajsy się zbliżono

I trzeba było promem przebywać tę wodę,

Te lotry wydarzoną chwytając przygodę,

Cisną się wprzód na pokład, aby przez ten sposób

Odcieśli go od reszty przychylnych mu osób.

Przebywszy wodę, jadąc przez zorane pole,

(Gdzie, mówią, jakieś dawne miasto leży w dole

Jeszcze z pogańskich czasów, naprzeciwno grodu

Starego Habsburg, gniazda ich świetnego rodu),

Zrazu księżę Jan sztylet utopi mu w szyję,

Rudolf Palm piersi nawskróś dzirytem przeszyje,

A Eszenbach tnie w głowę!... Oblany krwi zdrojem,

Spada z konia, zabity od swoich, na swoim;

Z drugiego brzegu wody prócz krzyków niemocy

Innej dać nieszczęsnemu nie mogli pomocy;

Przy drodze tylko była kobieta uboga,

Na jej łonie ostatnie tchy posłał do Boga.

Melchtal. Tak ten, co nigdy syty, wszystko garnął sobie,

Legł w wczesnym, własną ręką wykopanym grobie.

Sztaufacher. W całym kraju strach: w górach zaparte prze-
[chody,

Wszystko się ogranicza, zamykają grody,

Bo nawet miasto Zurych, co przez lat trzydzieści

Otwarte stało, na te przeraźliwe wieści,

By wpadnięciu morderców położyło tamy,

Bardziej jeszcze mścicieli, zatrzasnęło bramy.

Bo węgierska królowa, okrutna Agnieszka,

Z klątwą wygnania w rękę wpaść tu nie omieszka,
Zrzekłszy się plci słodyczy, w zemsty uniesieniu
Mści krew ojca na całym zabójców plemieniu,
Na ich sługach i dzieciach, i dzieciach ich dzieci,
Na kamieniach ich zamków nawet. Zbrojno leci:
Przysięgła, że dla pomsty ojcowskiej pamięci
Cały ród zabójców jego grobowi poświęci
I we krwi się ich skąpić, jak w majowej rosie.

Melchtal. Gdzież oni? nie wiedząż nic o ich dalszym losie?

Sztaufacher. Po spełnieniu tej zbrodni, straszną zdjęci trwoga,
W pięć stron przeciwnych różną rozbiegli się droga,
Aby się nigdy nie zejść już przez całe życie.
Książę Jan ma w tych górach mieć swoje ukrycie.

First. Więc się zbrodni owocu spodziewali darmo!

Mściwość nie da owocu, sama sobie karmą,
Mord jej jest używaniem, a zgroza przesytem!

Sztaufacher. Mordercom na nic czyn się ich nie zdał, lecz przytem
My czystą ręką owoc zbierzemy tej kaźni.

Ona nas uwolniła od wiecznej bojaźni:
Największy wróg wolności zgiął z jej przyczyny,
I słyhać już, że berło z Habsburgów rodziny
Ma przejść do ręki innej; co bardzo być może:
Rzesza chce się przy wolnym utrzymać wyborze.

First i inni. Kogóż chcą mieć cesarzem?

Sztaufacher. Powiadają wszędzie,
Że hrabia z Luksemburga najprędzej nim będzie.

First. Jak dobrze, żeśmy Rzeszy zawsze byli szczerzy,
Teraz nam sprawiedliwość niechybnie wymierzy.

Sztaufacher. Nowy pan rad jest mężnym towarzyszom broni,
On nas za to przed zemstą Austrii zasłoni.

Ściskają się nawzajem wszyscy

Peterman i Posłaniec od rządu.

Peterman. Tu chodźcie! tu zebrane są narodu głowy.

Reselman i inni. Cóż znów?

Peterman. Z jakimciś pismem posłaniec rządowy.

Wszyscy do Firsta: Odbierzcie i czytajcie!

First czyta.

• Królowa Elżbieta

Pocztówym mężom z Uri, Szwyc i Unterwalden
Łaskę i wszystko dobro.

Wiele głosów.

Czegóż chce królowa?

Jej rządy już skończone, niechaj będzie zdrowa!...

First *czyta dalej*. »Choć w bólach wdowy, w które krwawy skon
[jej męża

Wprawił królowę, pomna szwajcarskiej wierności

I z dawna dobrych chęci ludu tego kraju.

Melchtal. W szczęściu swem nigdy tego nie miała zwyczaju!

Reselman. Cicho! słuchajmy dalej!

First *czyta*.

»Teraz się spodziewa

Po wiernych swych poddanych, że wstąpi sprawiedliwy

Mieć będą do przeklętych zbrodni wykonawców,

Że żaden z trzech kantonów nietylko zabójcom

Nie da schronienia, owszem wydać dopomoże

W ręce sędziego — pomny miłości i względów,

Którychto od Rudolfa ¹⁾ książęcego domu

Doświadczał!*

Kilka głosów. Co? miłości i względów? słyszycie!?...

Sztaufacher. Ojciec, prawda, wyświadczał nam łaski obficie,

Ale postęпки syna, coby wspomnień warte,

Jakież są?... czy potwierdził nam wolności kartę,

Co przecie wszyscy przed nim robili cesarze?...

Zapewne sprawiedliwym był? karał zbrodniarzy?

Niewinność pod ojcowskich skrzydeł brał obronę?

Zapewne nasze posły były przypuszczone,

By się płacz nasz do jego czułych uszu dobil?

Z tego wszystkiego nigdy nic dla nas nie zrobił!

Gdybyśmy się nie wzmogli siłą własnej ręki,

Jegoby nie wzruszyły nigdy nasze jęki.

My wdzięczność?... czy zasiewał w tych równinach wdzięcz-
[ność?...

Z miejsca, na którem siedział, ojcem być miał zrzeczność,—

On się starał o dobro swoich, blizkich tronu,

Niech ci, których wzbogacał, płaczą jego skonu!

First. Niech nas Bóg broni z jego cieszyć się niedoli

¹⁾ Rudolf Habsburg, pierwszy cesarz z tego domu.

Dlatego, że był na nas nie najlepszej woli;
Lecz abyśmy dla złego cesarza pomśzczenia
Nic nam nie winnych ludzi chcieli zatracenia,
Tego się nie spodziewaj po nas żadną miarą!
Miłość chce dobrowolną tylko być ofiarą;
Śmierć, mówią, wymuszone zamazuje długie,
Nasze więc się dla niego skończyły usługi!

Melchtal. Niechaj sobie królowa w komorze swej płacze!

Śle w niebo bez ustanku żale i rozpacz!

Temu samemu niebu lud długo nękania

Dziękuje, że pomogło mu zerwać kajdany —

Miłością niechaj sieje, kto chce mieć z łez żniwa!

Posłaniec odchodzi.

Sztaufacher. Gdzie jest Tell? jeszcze nam tu tylko na nim
[zbywał

Na nim, sprawcy wolności! bo w tem wielkiem dziele

On ucierpiał najwięcej — i sprawił tak wiele!

Pójdźmy wszyscy! pospieszmy ku jego domowi,

Krzycząc: chwała naszemu wybawicielowi!!

Wszyscy odchodzą.

SCENA DRUGA.

Mieszkanie Tella. Ogień na kominie. Otwarte drzwi dają widok na dziedziniec.

Jadwiga, Walter i Wilhelm.

Jadwiga. Lube dzieci, odtąd już nie nas nie zasmuci!

Wszystko już wolne, ojciec żyje i dziś wróci.

Być zbawcą kraju jemu dozwoliły nieba!

Walter. I jam był przy tem, matko, i mnie wspomnieć trzeba.

Tak blisko mego życia przeszła ojca strzała,

Przeciem nie drżał.

Jadwiga. Opatrzność nazad mi cię dała.

Dwa razym cię rodziła i życiu twojemu

Świeciła bóle matki, lecz już po wszystkimu.

Mam was obydwóch, ojciec wróci bezwątpienia.

Mnich ukazuje się.

Wilhelm. Patrz, matko, pielgrzym pewnie zechce wspomnienia.

Jadwiga. Wprowadźcie go tu, dzieci, niech się czem posili

I pozna, w jak radosnej przybył do nas chwili.

Odchodzi i wraca po chwili z kubkiem w ręku.

Wilhelm. Chodźcie, dobry człowieku, posilcie się przecie.

Walter. I wypocznijcie trochę, nim dalej pójdziecie.

Mnich, wchodząc i oglądając się z bojaźnią i dziko.

Gdzie jestem? w jakim kraju?

Walter. Co to za pytanie?

Co wam? czyli was dręczy zmysłów obląkanie?

Ta wieś Birglen, kraj Uri, czy tego nie wiecie?

Mnich do powracającej Jadwigi: Gdzie mąż wasz?

Jadwiga. Właśnie czekam na jego przybycie.

Ale cóż wam jest? przebóg! powierzchność wasza

Swoją złą wróżbą jakże okropnie przestrasza!

Jednak ktokolwiekbyście byli, w to nie wchodzę,

Przyjmcie to, boście w długiej znużyli się drodze.

Podaje mu napój.

Mnich. Chociaż pragnieniem spiekle są wnętrzności moje

Nie wezmę jednak w usta nic...

Jadwiga. Ja się was boję,

Nie tykajcie mej sukni, mówcie w oddaleniu,

Jeśli chcecie, abym was słuchała w milczeniu.

Mnich. Na ogień, który wasza gościnność tu nieci,

Na głowy tych niewinnych i wam drogich dzieci..

Jadwiga, wzbraniając. Człowieku, nie straszcie ich tem spojrze-
[niem lichem.

Precz od dzieci! precz! o, wy nie jesteście mnichem!

Nie, nie jesteście. Pokój zwykł chodzić w tej szacie,

A wy na licu waszem pokoju nie macie.

Mnich. Ja... jestem... o! ja jestem najbiedniejszy z ludzi.

Jadwiga. Niestety w mojem sercu zwykle litość budzi,

Wasz wzrok nawet ostatnią iskrę w niem przygasza.

Walter zrywa się. Ojciec! *Wybiega.*

Jadwiga. O Boże! *Chce wyjść, drży i zatrzymuje się.*

Wilhelm. Ojciec! *Też wybiega*

Tell na dworze. Gdzie jest matka wasza?

Walter. Nie mogąc tu postąpić, czeka cię u proga,
Tak nią naprzemian miota i radość i trwoga.

Tell, wchodząc. O matko moich dzieci, Jadwigo kochana,

Bóg pomógł, nie rozerwie już nas moc tyrana!

Jadwiga. Ściskają się. Tellu! ileż cierpiałam!

Mnich zwraca uwagę

Tell. Zapomnij to, luba,

A żyj w radości! Już ci powrócona zguba.

Znowum tu, to jest dom mój, a wkoło mnie moi.

Wilhelm. Ale ojczy, czemużto powracasz bez broni?

Nie widzę jej.

Tell. I synu, nie ujrzysz już więcej.

Już się na łowach we krwi nie zboczy zwierzęcej:

Dla pamiątki w przybytku świętym ją złożono.

Jadwiga. Tellu, Tellu! Cofa się i puszcza jego rękę.

Tell. Czego się lękasz, droga żono?

Jadwiga. Jakim sposobem... cóż mi nazad ciebie dało?

Ta ręka... Boże! czyliż mam ją ujać śmiało?

Tell. Ta ręka czysta kraj wasz i was uwolniła,

Wznoszę ją śmiało w niebo, będzie niebu miła.

Mnich robi gwałtowne poruszenie, Tell go postrzega.

Cóż to za mnich?

Jadwiga. Czekaj tu na przybycie twoje.

Zapomniałam powiedzieć. Mów z nim, ja się boję;

Nie wiem czemu, lecz gdy się zbliżę, strach mnie zbiera.

Mnich przybliży się. Wy jesteście Tell? wyście zabili Geslera?

Tell. Ja go zabiłem, tego nie taję nikomu.

Mnich. Wierc to dłoń Boska wiodła mnie do tego domu!

Tell, mierzając go wzrokiem. Nie, ty nie jesteś mnichem... Ktoś

[ty, przyjacielu?

Mnich. Wyście wywarli zemstę na nieprzyjacielu,

I jam się zemścił na tym, co mnie skrzywdził. Wiecie,

On i waszym był wrogiem; jam mu odjął życie,

Mnie też winna ta ziemia, że jest uwolniona!

Tell, cofając się: Ty więc?... okropnie! Dzieci, precz stąd! precz

[stąd, żono!

Weź dzieci... Nieszczęśliwy!... Zono, precz. nie czekaj!

Tybyś był...

Jadwiga. Boże! któż on?

Tell. Weź dzieci, uciekaj,
Aby ich ucho ani słowa nie słyszało.
Wywiedź z domu daleko! pod jedną powalą
Z nim mieszkać wam niewolno!

Jadwiga. Boże! cóż to znaczy?

Biada mi, biada! chodźcie! *Odchodzi z dziećmi.*

Tell do Mnicha: Tak jest, nie inaczej,

Ty jesteś księżę Szwabii, tyś zabił cesarza,
Swego pana i wuja.

Jan Parycyda ¹⁾. Zabiłem zbrodniarza.

On mnie skrzywdził — ja chciałem dopomnieć się swego.

Tell. Ty zabiłeś cesarza, wuja rodzonego!

I ciebie dźwiga ziemia! tobie świeci słońce?

Parycyda. Posłuchajcie mnie..

Tell. Ręce i nogi krwią wrzące
Mordu ojca, cesarza, jakim śmiały prawem
Wnieść cię w ten dom mój czysty? Obliczem nieprawem
Dobremu człowiekowi jak śmiałeś zająć drogę
I żądać gościnności?

Parycyda. Gdzieinądziej nie mogę.
Myślałem więc, że choć Tell będzie litościwy,
Bo i on zabił swego wroga.

Tell. Nieszczęśliwy!
Żądzę honorów krwawą i niepowściągniętą
Śmiesz równać z sprawiedliwą praw ojca obroną?
Broniłeś głowy dzieci, ogniska całości?
Czy się ostateczności mściła twa zuchwałość,
Najokropniejszej doli? Wznoszę ręce w niebo,
Przeklinam cię i czyn twój! Zmuszony potrzeba,
Mściłem świętość natury, którą ty skalaleś.
Nie mam więc z tobą spółki... Ty tam mordowałeś,
Gdzie ja tylko broniłem całą swoją siłą
Tego, co mi najdroższem na tej ziemi było.

Parycyda. Więc mię bez pocieszenia w ostatniej potrzebie
Odrzucacie?

¹⁾ Ojciec ojca.

Tell. Wzdrygam się, gdy mówię do ciebie.

Precz stąd! idź, gdzie cię wiedzie twoja krwawa ścieżka,
Zostaw w czystości chatę, gdzie niewinność mieszka.

Parycyda. Więc nie mogę i nie chcę żyć więcej!

Chce odchodzić.

Tell.

A przecie

Żal mi ciebie. O Boże! w tym młodości kwiecie,
Z tak szlachetnego rodu, wnuk mego cesarza,
Zbójca i zbieg od progu do progu się tarza,
Przedemną biednym z prośbą korzy się nikczemną!

Zakrywa sobie oczy.

Parycyda. Jeśli umiecie płakać, to płaczcie nade mną.

Los mój okropny! Książę... raczej książę były!
Gdybym do powściągnięcia żądz swych dość miał siły,
Bylbym szczęśliwy. Ale zawiść serce ssala,
Kiedym widział, że kraje obfite i chwała
Wieńczyły Leopolda, ciotecznego brata,
Wtenczas, gdy mnie, też same mającego lata,
W niemowlęcej niewoli jak dziecko trzymano.

Tell. Krew twa wrząca wujowi była dobrze znaną,
Gdy ci wzbraniał zarządu krajem albo gminem.
W oczach świata twój pośpiech tym szalonym czynem
Mądrość jego zamiarów z tobą udowodni.

A gdzież jest reszta twoich współników tej zbrodni?

Parycyda. Gdzie nimi mściwe duchy pognały ich winy,
Nie widziałem ich od tej okropnej godziny.

Tell. Wiesz o tem, że na wszystkie ścigają cię strony,
Ześ swoim zakazany, wrogom pozwolony?

Parycyda. Dlatego po bezdrożach błędząc pokryjomu,
Nie śmiejąc zakolatać do żadnego domu,
Mijam gościńce, w puszcze obracam swe kroki,
Własne straszdyło, zwiedzam góry i opoki.
Nieraz, kiedy przypadkłem, idąc nad strumieniem,
Zajrzę weń, sam przed sobą wstecz się cofam z drżeniem.
Ludzkość, czucie litości jeżeli wam znane,
Ratujcie mnie! *Pada mu do nóg.*

Tell.

Wstań, wstań!

Parycyda. Nie, dopóty nie wstanę,
Dopóki nie podacie mi dłoni pomocy.

Tell. Tobie dopomóżdź? Jestże to w grzesznych ludzi mocy?
Jednak... wstań, bo jakkolwiek bardzo jesteś winnym,
Jesteś tylko człowiekiem, i ja nie kim innym.
Tell niepokieszonego nie puścił nikogo,
Zrobię więc i dla ciebie, co me siły zmoją.

Parycyda. Tellu, z rozpaczę moją duszę wyrrywacie!
Zrywa się i rękę Tella z uczuciem chwyciła.

Tell. Puśćcie rękę i w mojej nie bawcie się chacie;
Niedojrzeć was nie mogą, dojrzą, to zginiecie,
Bo ja was nie obronię. Czy nie wiecież przecie,
Gdziebyście mieli spokój?

Parycyda. Czyż ja wiedzieć mogę?

Tell. Ha! Bóg mnie natchnął... Długą mieć będziecie drogę.
Idźcie prosto do Rzymu. Tam ojcę świętemu
Padłszy do nóg, ulżycie sumieniu swojemu,
Wyspowiadajcie winę i wybawcie duszę.

Parycyda. Jeśli mnie wyda, jakież będą me katusze?

Tell. Cokolwiek wam rozkaże, przyjmcie, jak od Boga.

Parycyda. Kraju nie znam i nie wiem, jak do niego droga,
A nie śmiem się z innymi łączyć wędrowcami.

Tell. Słuchajcie, co wam powiem: Ot tymi krzakami
Pójdziecie prosto w górę, aż tam, gdzie Rajs rzeka
Szybkim biegiem z pomiędzy wielkich gór wycieka.

Parycyda przestraszony. Rzeka Rajs! Boże! ona mą zbrodnię
[widziała!

Tell. W samym dole przepaści jest drożyna mała,
Znaczą ją liczne krzyże, każdy przypomina
Przechodnia, którego tam zabiła lawina.

Parycyda. Nie przeleknię się groźnych dziwów przyrodzenia,
Jeśli uśmierzę dzikie straszidło sumienia.

Tell. Przed każdym z nich, ze skrucą padłszy na kolana,
Rzewną łzą Wszechmocnego przebłagajcie Pana.
Jeśli tę drogę strachu szczęśliwie przejdziecie,
I was gdzie nie zawałą śniegowe zamiecie,
Spadłe z szczytu odwiecznym nabrzmiąłem lodem,
Wyjdziecie na most wielki, gdzie tętni pod spodem.

Jeżeli się pod waszą winą nie załamie,
Ten minawszy, ku czarnej w skale kutej bramie
Traficie niezawodnie, w kórej wiecznie ciemno.
Wejdźcie w nią, a znajdziecie dolinę przyjemną,
Łakę uciech. Tu spieszcie, co tylko tchu stanie,
Bo to nie dla was pobyt pokoju mieszkanie.

Parycyda. Rudolfie, ojcie królów, patrz, jak twoje plemię,
Wnuk twój, wstępować będzie na państw twoich ziemię!

Tell. Tak ciągle idąc w górę, na Gothard wyjdziecie,
Gdzie te wieczne jeziora leżą, które w lecie
Same się napelniają li deszczową ścieką.
Tam pożegnacie Niemcy i już inną rzeką
Aż do Włoch się spuściwszy, staniecie u celu...
Słyszę głosy, idźcie już. *Słychać rogi pasterskie.*

Jadwiga, wpadając. Tellu! gdzie ty? Tellu!
Ojciec idzie, z nim liczna wesółych gromada,
I wszyscy sprzysiężeni

Parycyda *zasłania się.* O biada mi, biada!
Mnie niewolno tam bawić, gdzie ludzie szczęśliwi!

Tell. Kochana żono, niech się ten człowiek pożywi,
Oprócz tego opatrz go obficie darami,
Bo on ma bardzo wielką podróż przed oczami
I zasilku w gospodzie żadnej nie dostanie.
Spiesz się, już idą!

Jadwiga. Któż on?

Tell. Oszczędź to pytanie.

Gdy będzie miał wyjść, odwróć oczy, moja żono,
Ażebys nie widziała, którą poszedł stroną.

Parycyda *chce biec do Tella, ten mu daje znak ręką i odchodzi spiesźnie, tamten idzie za Jadwigą. Scena się odnawia.*

SCENA OSTATNIA.

Cała równina przy mieszkaniu Tella i otaczające ją wzgórki napelnione włościanami, tworzącymi piękną grupę, inni idą wysoką ścieżką przez Szechen. Waiter First z obydwoma chłopcami. Melchtal i Szttaufacher idą naprzód, inni cisną się za nimi. Gdy Tell wychodzi, witają go wszyscy radosnymi okrzykami.

Wszyscy. Tell! strzelec i nasz zbawca niech żyje!
Przedniejsi ściskają go. Rudenz i Berta, ten mężów, ona Jadwigę ściskając, ukazują się. Muzyka z góry towarzyszy tej niemej scenie. Berta wchodzi w środek zgromadzenia.

Berta. Ziomkowie!

Związkowi! niech ja pierwsza szczęśliwą się zowie,

Że mnie schronienie dały te wolności kraje.

W wasze odważne ręce prawa swe oddaje,

Będąc od was jak prawa Szwajcarka bronioną.

Wszyscy. Krwią naszą i majątkiem!

Berta, biorąc rękę Rudenza. Tego jestem żoną.

Wolną wolnego!

Rudenc. Ja zaś przy was tu zebranych

Uwalniam na czas wieczny wszystkich swych poddanych!

Muzyka na nowo zaczyna. Zastłona spada.



2896.



2896

